

ISSN 1732-6494

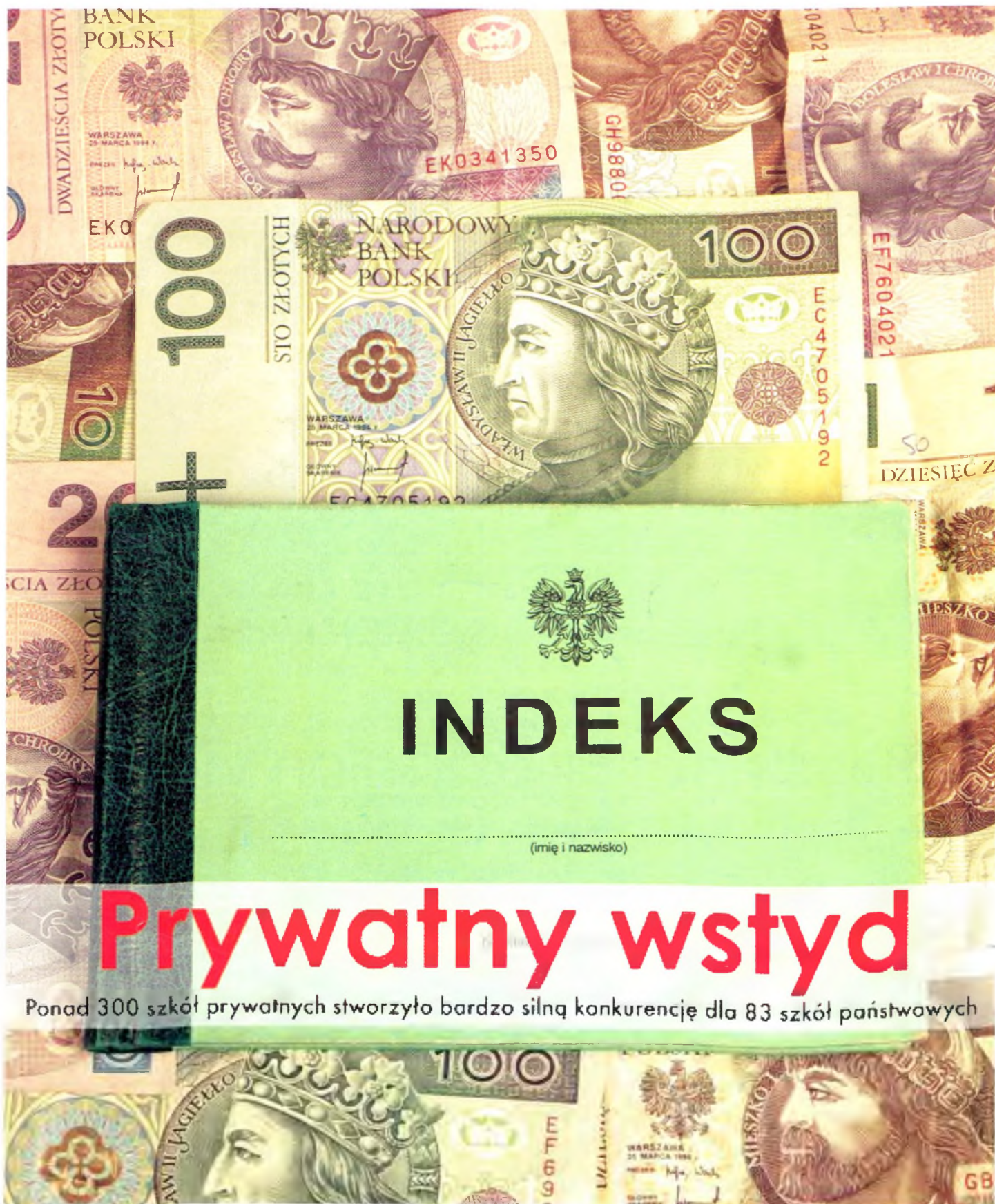
nr 11

marzec 2005

mixer

magazyn studentów

Krakowskiej Szkoły Wyższej im. A. Frycza Modrzewskiego



mixer

magazyn studentów

miesięcznik studentów
Krakowskiej Szkoły Wyższej
im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

redaktor naczelna:
Gabriela Kózka

z-ca redaktor naczelnej:
Michał Kraus

redakcja:
Jan Bielecki (foto)
Marcin Gnat
Piotr Koziaż
Maciej Kozicki
Piotr Krakowiak
Michał Krzywda
Bartłomiej Misiniec
Mateusz Peszka
Paweł Pluta
Martyna Polak
Anna Stowiakowska
Dominika Wiślak
Agnieszka Zawitowicz
Katarzyna Żołna

korekta:
Agata Czarnota

skład/łamanie:
Michał Kraus

adres do korespondencji:
mixer@kte.pl

wydawca:
Krakowska Szkoła Wyższa
im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego
ul. Kanonicza 9, 31-002 Kraków

druk:
drukarnia Intromax
tel. 290 07 01

nakład:
800 egzemplarzy



okładka:
Jan Bielecki

Redakcja zastrzega sobie prawo
do redagowania tekstów oraz zmiany
tytułów.
Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych.

W NUMERZE:

APERITIF

POWAGA, Polityczne Ważne Gadanie

- SOCRATES/ERASMUS 2005/2006
- Kraków nie ma szczęścia...

KRAKÓW OD SIŁ

- „Szysta Club” - lokal z sułtańskim przeprychem
- Ważna akcja
- „Marnym życiem żyjecie”
- Kino „domowe”

S DZIAŁA SIŁA

- Dziennikarstwo: zawód czy misja?
- Nie dziękuję - nie czytam
- Polska - mój dom - mój kraj
- „DNI KARIERY” - Twoja droga do sukcesu

► Prywatny wstyd

KUMUŁUSZ

- Student znaczy zaradny
- Beksińskiego pamięci rapsod żałobny
- Fenomen Grishama
- Ulica miejscem życia
- Airsoft - zabawa w strzelanie
- Recenzje, recenzje, recenzje

FETUS

- „Bij drecha”
- Ostatnia kolacja - wszystko o nas
- Fetysz, czyli diamentowa spinka do krawata

ŻAŁO R

Apéritif

Cześć ludzie!!!

Jak dobrze, że już marzec! Jak dobrze, że już po sesji!

Licząc, że wszyscy uporaliście się z egzaminami, poprawkami i zbieraniem autografów szanownych wykładowców, oddajemy w Wasze ręce kolejny numer „Mixer”. 23 strony tego, co siedzi w studentach KSW. Jak zawsze trochę humoru, ale i poważnej dyskusji, jak chociażby temat główny serwowany przez mieszkankę pewnego stawu, Zabę. Problem bezpośrednio dotyka nas wszystkich. Ludzi, którzy z różnych powodów stali się atomami braci studenckiej KSW. I nie wierzę, że są pośród nas tacy, którym ten temat jest całkowicie obojętny...

Na koniec przypomnę raz jeszcze, że drzwi naszej redakcji są zawsze otwarte dla chętnych do współpracy. Czekamy również na przejawy waszej literackiej twórczości, wiersze oraz opowiadania. Możecie je przesłać na adres mixer@kte.pl

Gabriela Kózka
redaktor naczelna

Kalendarium:

Przerwa świąteczna trwać będzie **od 24 do 30 marca**

Oficjalne i dopuszczalne wagary **21 marca - (WIOSNA!!!)**

Honorowa środa - **WAMPIRIADA - 6 kwietnia**

Wybory najmilszej studentki KSW

Już w maju odbędą się wybory Najmilszej Studentki Krakowa. Swoją cegiełkę do wyborów dołoży również KSW, wybierając Najmilszą Studentkę Krakowskiej Szkoły Wyższej, która będzie nas reprezentować podczas wyborów krakowskich. Wybory odbędą się podczas imprezy przed juwenaliami, organizowanej przez Samorząd Studentów KSW.

Wybory Najmilszej Studentki KSW zaczynamy już teraz. Wszystkie studentki zapraszamy do udziału w eliminacjach. Aby wziąć w nich udział wystarczy do 15 kwietnia zgłosić swą kandydatkę wysyłając e-mail pod adresem samorzad@kte.pl lub mixer@kte.pl albo przyjść do pokoju Samorządu Studentów (043) w godzinach dyżurowania.

mixer@kte.pl

samorzad@kte.pl

Socrates/Erasmus 2005/2006

Zasady rekrutacji

W roku akademickim 2005/2006 Krakowska Szkoła Wyższa uczestniczyć będzie w kolejnej edycji programu Socrates/Erasmus. Studentom umożliwi się w ten sposób wyjazd do zagranicznych uczelni partnerskich Krakowskiej Szkoły Wyższej i podjęcie tam studiów trwających od 3 miesięcy do 1 roku akademickiego.

Osoby, które chcą wziąć udział w programie, powinny złożyć w Dziale Współpracy Międzynarodowej (ul. Kanonicza 9, pokój 305) kwestionariusz zgłoszeniowy z dołączonym do niego oświadczeniem (dostępny jest na stronie internetowej w części poświęconej współpracy międzynarodowej www.ksw.edu.pl/dokumenty/erasmus3.pdf). Podczas wyboru uczelni zagranicznych, w których kandydaci planują podjąć studia, z listy partnerów w ramach programu Socrates/Erasmus należy uwzględnić dziedzinę współpracy oraz język wykładowy.

Rekrutacja będzie przebiegać według następującego harmonogramu:

- 23 marca (środa), godz. 12.10 - 13.45 - spotkanie informacyjne (sala 227, ul. G. H. Grudzińskiego 1)
- 14 kwietnia - ostateczny termin składania kwestionariuszy zgłoszeniowych i oświadczeń
- 4 maja - ogłoszenie listy osób zakwalifikowanych
- 5 - 20 maja - składanie dokumentów wymaganych przez uczelnie zagraniczne

- 10 czerwca - potwierdzenie akceptacji przez uczelnię zagraniczną

Komisja rekrutacyjna:

Prorektor Krakowskiej Szkoły Wyższej prof. dr hab. Jerzy Malec
Dziekan/Prodziekan kierunku/specjalności (.....)
Koordynator Uczelniany Socrates/Erasmus mgr Jerzy Marcinkowski
Sekretarz Komisji mgr Agata Justyna Krawiec.

Kryteria kwalifikacji obejmują:

- spełnienie wymogów formalnych
- znajomość języków obcych
- średnią ocen
- uzasadnienie wyjazdu (opisane w kwestionariuszu zgłoszeniowym)
- pomoc w inicjatywach realizowanych przez Dział Współpracy Międzynarodowej
- działalność na rzecz uczelni np. w kołach naukowych
- uczestnictwo w wykładach w językach obcych w KSW (do kwestionariusza zgłoszeniowego należy dołączyć potwierdzenie tego faktu, podpisane przez prowadzącego)

Uczelnie	Dziedziny współpracy	Język wykładowy
Hochschule Harz - Hochschule für angewandte Wissenschaften. <u>Niemcy</u> E D WERNIGE01	administracja publiczna, zarządzanie i marketing, turystyka międzynarodowa	niemiecki
Fachhochschule Ludwigshafen am Rhein-Hochschule für Wirtschaft. <u>Niemcy</u> E D LUDWIGH01	zarządzanie i marketing	niemiecki, angielski
Evangelische Fachhochschule Berlin. <u>Niemcy</u> E D LUDWIGH01	praca socjalna, zarządzanie i marketing	niemiecki
Hogskolan Dalarna. Falun. <u>Szwecja</u> E S FALUN01	politologia, komunikacja społeczna	szwedzki, angielski
Kymenlaakson Ammattikorkeakoulu. <u>Finlandia</u> E SF KOTKA06	nauki o rodzinie	fiński, angielski
Fachhochschule St. Polten. <u>Austria</u> E A ST-POLT03	komunikacja społeczna	niemiecki
Universita degli Studi del Molise. <u>Włochy</u> E I CAMPOBA01	praca socjalna, turystyka, politologia	włoski
Kodolanyi Janos Fiskola. Szekesfehervar. <u>Węgry</u> E HU SZVAR01	turystyka, komunikacja społeczna, stosunki międzynarodowe	węgierski, angielski
Universite Jean Monnet. Saint-Etienne. <u>Francja</u> E F ST-ETIE01	zarządzanie i marketing	francuski
University of Plovdiv Paisii Hilendarski. <u>Bulgaria</u> E BG PLOVDIV04	prawo	bułgarski

Kraków nie ma szczęścia...

rozmowa z prof. dr. hab. arch.
Krzysztofem Ingardenem

MIXER: W jednym z wywiadów stwierdził pan profesor: „Czuje się Krzysztofem Ingardenem, przypadkowo architektem”. Dlaczego przypadkowo?

Prof. Krzysztof Ingarden: Młody człowiek, który ma 18 lat i przed sobą maturę, bardzo często nie zdaje sobie sprawy z tego, na czym polega przyszły kierunek studiów i zawód, jaki obiera. Bardzo często są to decyzje oparte na intuicji, a nie na wiedzy na ten temat. Wobec tego kiedyś żartując, stwierdziłem, że przypadkowo wybiera się kierunek, studiów i że także mój wybór był przypadkowy. Oczywiście jest to trochę przesadzone, bo jednak trochę się w tym orientowałem. W mojej rodzinie były tradycje architektoniczne. Jednak o esencji tego zawodu, tzn. jaki jest charakter twórczości architektonicznej, wiedziałem wtedy bardzo niewiele.

M: A czy ktoś doradzał panu studiowanie architektury?

K.I.: Architektami w rodzinie są Janusz i Marta Ingardenowie. Widziałem, jak oni ciężko pracują, często do późna w nocy, jakie mają problemy z wykonawstwem projektów. A jednak wybrałem ten zawód, mając nadzieję, że w przyszłości będę mógł działać w lepszych niż oni warunkach.

M: I na szczęście tak właśnie się stało. Jak pan ocenia zaistniałe przemiany?

K.I.: Uważam, że moje pokolenie, jak i młodsze, należy określić mianem szczęśliwych, ponieważ jesteśmy w stanie zakładać nasze biura po 1989 roku w innej rzeczywistości gospodarczej. Jeżeli ta zmiana ustroju gospodarczego nie miałyby miejsca, zarówno ja, jak i większość moich kolegów znaleźlibyśmy zatrudnienie gdzieś poza granicami Polski. Z mojego pokolenia bardzo dużo osób studiowało za granicą albo po ukończeniu studiów pracowało poza Polską, żeby zdobyć inny typ doświadczenia zawodowego niż był możliwy do zdobycia w kraju. Gdyby sytuacja w Polsce się nie zmieniła, prawdopodobnie nigdy by nie wrócili do Polski. Jednak wiele osób wraca i - co ważne - ma możliwość założenia biura i w miarę normalnego funkcjonowania na rynku, który na początku lat 90. był bardzo dynamicznie rozwijającym się.

M: Pana stryj, Janusz Ingarden, zaprojektował hotel „Forum”. Zdaje się, że ten hotel od niedawna ma nowego właściciela, który raczej nie będzie tego obiektu remontował, ale go wyburzy.

K.I.: Każdy obiekt architektoniczny ma ograniczony okres swojego życia. Nawet piramidy egipskie popadają w ruinę. Bardzo często zmienia się charakter użytkowania i jest to rzecz naturalna, że jakiś budynek po pewnym czasie przestaje funkcjonować. Szkoda tylko, że akurat ten budynek i po tak krótkim czasie. Wydaje mi się, że dla krajobrazu Krakowa, dla tamtej części nabrzeża wiślanego, będzie to strata, bo to dobra konstrukcja, o bardzo eleganckich proporcjach, o czytelnej dyspozycji funkcjonalnej i kompozycyjnej, jeden z najlepszych przykładów architektury modernistycznej tamtego czasu.

M: Na pytania dotyczące centrum „Manggha” odpowiadał pan profesor pewnie już wiele razy, ale jest to budynek, który kojarzy się z początkiem lat 90., z tamtymi czasami. To taka swoista wizytówka tamtego okresu. W 1999 roku „Manggha” otrzymała tytuł najlepszego budynku Krakowa zbudowanego w poprzedzającym konkursu dziesięcioleciu. Myślę, że o taką realizację warto raz jeszcze zapytać.

K.I.: To prawda. Budowla jest absolutnie wyjątkowa, choćby dlatego, że powstał chyba pierwszy w Polsce budynek o funkcji kulturalnej, zbudowany po wojnie przez inwestora prywatnego. Co istotne: był to budynek wzniesiony dla sztuki przez artystów i przez inwestora, który jest artystą. Chodzi tu przecież o Andrzeja Wajdę, który od początku wiedział, że nie budujemy czegoś komercyjnego, tylko musimy skupić się na wartościach artystycznych. To jest rzecz wyjątkowa. Przeważnie inwestor ma inne perspektywy, inne cele.

M: Współprojektował pan ten budynek z panem Aratą Isozakim, u którego odbywał pan praktykę w latach 1984-85 w jego japońskim biurze. Jak się ta współpraca układała?

K.I.: Bardzo dobrze, wręcz modelowo. Gdy w 1987 roku dowiedziałem się, że Andrzej Wajda zamierza zbudować Centrum Sztuki Japońskiej, zasugerowałem mu, żeby o projekt zwrócić się do Arata Isozaki, architekta specjalizującego się w obiektach muzealnych, który jest w stanie takie zadanie wykonać idealnie. Andrzej Wajda przyjął propozycję, a Isozaki z kolei zaprosił mnie do współpracy. W 1990 roku na dwa miesiące pojechałem do biura Isozaki z przygotowanym programem tej inwestycji i wtedy powstawała koncepcja budynku. Potem nasze krakowskie biuro opracowało dokumentację budowlaną i wykonawczą.

M: Doktorat uzyskał pan w 1987 roku. O czym była praca?

K.I.: To była praca z pogranicza architektury i estetyki - o funkcji reprezentacji w architekturze. Jej tematem była między innymi teoria znaków Charlesa Sandersa Peirce'a, filozofa amerykańskiego, który wyróżniał trzy kategorie znaków: ikoniczne, symboliczne i tzw. indeksy. Moim zadaniem było znalezienie odpowiedników architektonicznych takiego podziału, ale też krytyczne spojrzenie na taką klasyfikację w odniesieniu do dzieła architektonicznego.

M: Zaprojektował pan profesor bibliotekę i kampus PAT. Biblioteka powstaje. Co z kampusem?

K.I.: Nasze biuro wygrało konkurs na kampus i bibliotekę, która jest pierwszym etapem budowy tego kampusu. Sama biblioteka została podzielona na dwa etapy budowy. W tej chwili realizujemy pierwszy o powierzchni 10 tys. m². W następnej kolejności powstaną obiekty dydaktyczne, akademiki, a na samym końcu druga część biblioteki. Na razie realizacja inwestycji postępuje wolniej niż to było planowane.

M: Może w takim razie zdecyduje się pan ocenić, jak wypadła budowa kampusu KSW na Zabłociu?

K.I.: Powstał racjonalnie pomyślany budynek o zaskakująco wysokim standardzie wykończenia jak na budynek szkolny. Myślę, że to jest pełen sukces.

M: Co czuje pan profesor, jako architekt, gdy widzi, jak rośnie zaprojektowany przez pana budynek?

K.I.: Z punktu widzenia projektanta każdy obiekt można zaprojektować i zrealizować lepiej. Nasze projekty do końca dopracowujemy, także w trakcie budowy, aby jak najlepiej zrealizować myśl projektową. Jest to walka z rzeczywistością o zrealizowanie ideału. Nie zawsze się to udaje. Jednak budynek po zakończeniu budowy jest już skończony, żyje własnym życiem. A o te niezrealizowane pomysły czy idee należy toczyć bój w następnych projektach.

M: Nad czym pan profesor pracuje teraz?

K.I.: Obecnie pracujemy nad polskim pawilonem na Expo 2005 w Japonii. Jest to efekt wygranego konkursu. Będzie to obiekt nowatorski i eksperymentalny o elewacji z wikliny, której płaszczyzna wygina się dwukierunkowo. Zaprojektowaliśmy to w oparciu o system stalowych ramek, które stanowią moduły tej elewacji. Wiklina wyplatana jest na każdej ramce przez rękodzielników z rejonu Rudnika nad Sanem. Ta elewacja to efekt stosowania nowych technologii w projektowaniu i wykorzystania tradycji rzemieślniczej z tamtego rejonu. To połączenie high-tech z low-tech.

M: W trakcie naszej rozmowy podjął się pan swoistej oceny dwóch budynków. Jakże są w takim razie kryteria oceny dobrej architektury? Czy istnieje jakieś uniwersalne kryterium?

K.I.: Myślę, że każdy architekt ma na to pytanie własną odpowiedź. Nie ma uniwersalnych kryteriów, niemniej można określić dobre proporcje, stwierdzić, czy rozwiązania są funkcjonalne, czy dobrze zaprojektowano detale itp. Ponadto budynek musi przekazywać jakąś, nazwijmy to prosto, myśl. Jeżeli jej nie przekazuje, jest martwy.

M: Proszę w takim razie krótko ocenić współczesną architekturę Krakowa.

K.I.: Niestety, generalnie Kraków nie ma szczęścia do dobrych obiektów, szczególnie w prestiżowych miejscach, istotnych dla panoramy miasta. Tak więc współczesnej krakowskiej architektury nie mogę ocenić pozytywnie.

Rozmawiał Piotr Koziaż

„Szisza Club”

- lokal z sułtańskim przepychem

Każdy mężczyzna, który marzył o tym, aby przenieść się w sułtańskie czasy, rozsiąść się wygodnie na kanapie wyłożonej stosami poduszek i podziwiać płąsającą przed nim półnagą piękność wykonującą „taniec brzucha”, może uznać to miejsce za spełnienie swoich snów.

Pomimo że Kraków słynie z bogactwa knajp, pubów i różnego rodzaju lokali rozrywkowych, to wszystkie w zasadzie wyglądają podobnie. Różnią się elementami wystroju, detalami dekoracyjnymi, stylem itp., ale nie ma w nich niczego takiego, co wznosiłoby je ponad inne. Nie ma w nich odrębnego, wysublimowanego klimatu, który sprawiałby, że bawiący się tam goście przenosiliby się w inną rzeczywistość. I właśnie ten sam, wszechobecnie panujący, nijaki klimat krakowskich pubów sprawia, że każdy, kto lubi spędzać czas w takich miejscach, po pewnym czasie zaczyna się nudzić.

Niektórzy zapewne uważają, że napić się piwa można wszędzie. Tym jednak, którzy myślą inaczej, proponuję coś nowego i na swój delikatny sposób ekstrawaganckiego. Tym miejscem jest „Szisza Club”, który powstał niedawno na Małym Ryнку. Miejsce to najbardziej ucieszy fanów orientu, którzy mają hopla na punkcie kultury Bliskiego Wschodu. Już samo wejście do lokalu przenosi nas w świat „Księgi tysiąca i jednej nocy”. Unoszący się w powietrzu aromat fajki wodnej, orientalna, burząca krew w żyłach muzyka i nieopisany klimat są z niczym nieporównywalne. Lokal urządzono z sułtańskim przepychem. Znajdziemy tam witraże, podwieszane materiały przy suficie, rzeźbione stoliki, różnorodne dywany i delikatne lampy. Możemy się rozsiąść wygodnie na kanapie wyłożonej stertą poduch lub na niskich tradycyjnych pufach.

Jeśli ktoś ma ochotę na małą odmienność kulinarną, lokal oferuje wachlarz tradycyjnych śródziemnomorskich potraw. A zwykłe spotkanie „przy piwie” może urozmaicić azjatycka fajka wodna lub, jak kto woli, szisza czy nargile. Dostępne są różne rodzaje aromatycznego tytoniu, który pobudzi nasze zmysły. Dodatkowo w piątki oraz soboty odbywa się profesjonalny pokaz „tańca brzucha” w wykonaniu tancerki w tradycyjnym, nieco skąpym stroju. Dla każdej z kobiet, oczarowanej sprawnymi i zwinnymi ruchami tańczącej, organizowane są specjalne warsztaty oraz kursy, na których można ćwiczyć sztukę tego specyficznego tańca. Bez wątpliwości jednak kobiety wychodzą po takim pokazie równie (o ile nie bardziej) zadowolone co mężczyźni.

To wszystko składa się na klimat tego miejsca, które jest naprawdę wyjątkowe i sprawia, że na chwilę zapominamy, gdzie jesteśmy. Spędzając tam wieczór, przenosimy się do ciepłych, orientalnych krain „miodem i mlekiem płynących” i nie myślimy przez moment o codzienności. Serdecznie polecam!

„Szisza Club”

Mały Rynek 2 (wejście przez Casa Della Pizza)

Dominika Widlak



Już samo wejście do Szisza Club przenosi nas w świat „Księgi tysiąca i jednej nocy”



Zwykłe spotkanie „przy piwie” może urozmaicić azjatycka fajka wodna lub, jak kto woli, szisza czy nargile



Lokal urządzono z sułtańskim przepychem



Ważna akcja

Amnesty International jest najliczniejszym światowym ruchem działającym na rzecz zapobiegania naruszeniom praw człowieka

Krótko o ruchu

Ruch Amnesty International został zapoczątkowany przez brytyjskiego prawnika Petera Benenсона. W roku 1961 opublikował on artykuł nawołujący do uwolnienia dwóch portugalskich studentów, którzy zostali aresztowani po wzniesieniu toastu za wolność w swoim kraju. Ten z pozoru drobny incydent zapoczątkował powstanie powszechnego ruchu międzynarodowego i ogromnej organizacji.

Działanie

Amnesty International organizuje kampanie ogólnoswiatowe, których celem jest zwrócenie uwagi społeczności międzynarodowej na problem łamania praw człowieka. Często organizowane są publiczne wystąpienia i demonstracje. Członkowie ruchu wysyłają listy oraz petycje do władz broniących praw człowieka. Ma to na celu możliwie jak najszersze poinformowanie o tych zdarzeniach i rozpropagowanie akcji i kampanii AI. Do podstawowych celów organizacji należy: przeciwstawianie się przetrzymywaniu ludzi w więzieniach bez wyroków sądowych i prześladowaniom za przekonania polityczne, religijne, kolor skóry, płeć, orientację seksualną, narodowość czy rasę. Członkowie AI chcą, aby wszyscy więźniowie polityczni byli uczciwie i szybko sądzeni. Wszelkie formy tortur i niehumanitarnego traktowania powinny być zaprzestane. W roku 1977 AI otrzymała Pokojową Nagrodę Nobla za „wkład w umacnianie podstaw wolności, sprawiedliwości, a tym samym pokoju na całym świecie”.

Amnesty jest organizacją bezstronną, niezależną od rządów, partii politycznych, grup wyznaniowych. Nie udziela poparcia ani nie przeciwstawia się żadnemu systemowi politycznemu czy poglądom osób, których praw broni.

Członkowie Amnesty podejmują także działania bieżące, tak zwane „Pilne Akcje”, czyli apele miesiąca. Są to interwencje w sprawach ludzi, którzy potrzebują natychmiastowej pomocy. Każda taka akcja dotyczy konkretnej osoby. Członkowie piszą wtedy petycje do władz z wyrazami zaniepokojenia czy też wezwaniem do zwolnienia uwięzionego człowieka. Na specjalnych ulotkach jest podany adres oraz formy grzecznościowe w języku angielskim, gdyż można pisać po polsku. Apele są nastawione na ilość - liczy się liczba listów; im jest ich więcej, tym większe prawdopodobieństwo, że przyniosą one jakiś skutek. Są wyrazem tego, że los pokrzywdzonych ludzi nie jest innym obojętny i ktoś się nimi przejmuje.

W Krakowie

Krakowska Grupa Uznana nr 11 powstała w 2000 roku. Do jej zadań należy organizacja akcji stolikowych podczas koncertów w klubach studenckich (czyli zbieranie podpisów pod apelami i petycjami), happeningów, paneli dyskusyjnych (główne wydarzenia kampanijne). Do ostatnich głośnych działań AI w naszym mieście należą m.in. manifestacja w obronie praw człowieka w Czeczeni, podczas wizyty prezydenta Rosji Władimira Putina, wystawa zdjęć więźniów reżimu Fidela Castro, którą można było zobaczyć na Rynku. Obecnie swoje wysiłki członkowie skupiają na prowadzeniu kampanii "Sprawiedliwość dla każdego w Federacji Rosyjskiej".

W ramach grupy działa Zespół ds. Edukacji Praw Człowieka prowadzący warsztaty na temat praw człowieka w gimnazjach i liceach, gdzie zakłada Szkolne Grupy Amnesty International, oraz grupa ds. LGBT (Lesbian, Gay, Bisexual, Transgender) występująca w obronie osób dyskryminowanych z powodu orientacji seksualnej. W planach jest współpraca ze środowiskami kościelnymi.

Opieniędzach

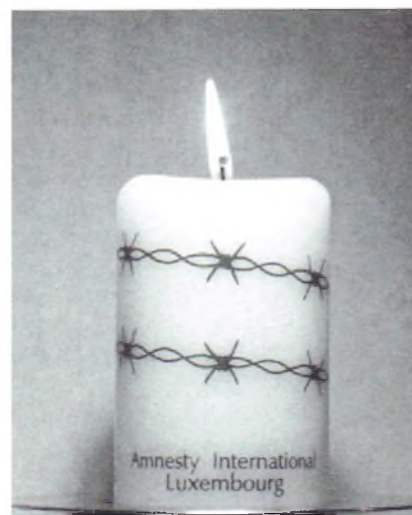
Jedną z podstawowych zasad ruchu jest nieprzyjmowanie z zasady funduszy ze źródeł rządowych, międzyrządowych, ani też od jakichkolwiek grup interesu. Pozwala to na działalność niezależną, zapewniając tym samym obronę przed posądzeniem o stronniczość lub reprezentowanie interesów kogokolwiek. Głównym źródłem finansowania działań AI są składki członkowskie oraz dobrowolne wpłaty sympatyków ruchu.

Zaproszenie

Amnesty International zaprasza chętnych i ciekawych na swoje spotkania. Można tam spotkać osoby, którym los bliźnich nie jest obojętny. Ludzie ci z czystej miłości do drugiego człowieka poświęcają swój czas, niosąc pomoc, oraz ukazują, że powinniśmy patrzeć na otaczający nas świat nie tylko jak na coś pięknego.

Więcej szczegółów znajdziecie na stronie www.amnesty.krakow.pl

ko



Musiło upłynąć 100 lat, żebyśmy zrozumieli, jak bardzo jest nam bliski Antoni Czechow

„Marnym życiem żyjecie”

W zeszłym roku minęła setna rocznica śmierci Antoniego Czechowa. Trzecie już „DEDYKACJE” w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie (na przełomie listopada i grudnia ub. roku) poświęcono właśnie jego twórczości. Program obejmował cztery polskie i zagraniczne spektakle teatralne, ekranizację najwybitniejszych dramatów oraz seminarium naukowe.

Antoni Czechow, znakomity rosyjski pisarz i dramaturg, zmarł w kwiecie wieku, mając zaledwie 44 lata. Już za życia był znany, szanowany, powszechnie lubiany, ale światową sławę (jak inni mistrzowie) zyskał dopiero po śmierci. Mimo niesłabnącej popularności, zachwycania się nowych pokoleń twórczością Czechowa jego sztuki są rzadko wystawiane. Dopiero od niedawna można je oglądać na deskach polskich teatrów. Dlaczego? Wydaje się, że powodem jest to, iż jego dramaty prowokują do refleksji, są trudne w odbiorze i niełatwe do wyreżyserowania, a zatem docierają do nielicznych.

„Mewa”, komedia w trzech aktach, zaprezentowana podczas „DEDYKACJI” przez Teatr Rosyjski z Rygi, może się wydawać sztuką o miłości, ale to nie do końca prawda. Myślą przewodnią tego utworu jest konieczność posiadania w życiu celu i nieustanne dążenie do niego. Autor zawarł w sztuce myśl, że „ludzie obdarzeni niezwykłym talentem są skazani na niezrozumienie i samotność”. Biografia popularnych dzisiaj poetów, pisarzy czy kompozytorów dobitnie potwierdza ten pogląd. Także i teraz słowa Czechowa są aktualne, bo choć w ostatnich czasach tak dużą wagę przywiązuje się do indywidualizmu, nie brakuje ludzi cierpiących z powodu swej „inności”, ludzi wyobcowanych, niedocenionych i osamotnionych, ludzi nieszczęśliwych, nie widzących dla siebie sensu życia, których

stać jedynie na drobne i mało znaczące gesty. Sztuka pozwala zgłębić wiedzę o nas samych.

Z kolei jednoaktówka Teatru Telewizji sprzed wielu lat pt. „Oświadczyń” w reż. Jerzego Antczaka w ironiczny sposób obnaża wady ówczesnego społeczeństwa, wewnętrzną pustkę inteligencji, jej egoizm i pychę. Myślę, że dzisiaj jest podobnie, bo ludzie się przecież nie zmienili, z tym że współczesny człowiek zwraca jeszcze mniejszą uwagę na zasady moralne i etyczne, nie docenia ojcowskich wskazań, ignoruje wartości nadrzędne. Skoncentrowany jest wyłącznie na sobie, interesuje go przede wszystkim pogoń za sukcesem, marzy o zdobyciu dużych pieniędzy w krótkim czasie.

Może zabrzmiałoby to banalnie, ale uważam, że musiło upłynąć sto lat, żebyśmy zrozumieli, jak bardzo Czechow jest nam bliski. Jego dzieła, należące do skarbnicy literatury światowej, wciąż są aktualne niezależnie od epoki, w której się żyje. Pisarz apeluje do każdego z nas, abyśmy zatrzymali się na chwilę, popatrzyli na swe życie i uczynili je lepszym, piękniejszym, twórczym: „Przyjrzyjcie się sobie wszyscy i zobaczcie, jakim złym, jakim marnym życiem żyjecie...”. Myślę, że nikt nie powinien przejść obok tych słów obojętnie.

Jeśli nie zawsze macie czas (i ochotę) sięgnąć po książki czy dramaty Czechowa, obserwujcie przynajmniej życie kulturalne Krakowa i wybierzcie się od czasu do czasu na takie imprezy, jak „DEDYKACJE” w Teatrze im. Słowackiego. Studiowanie w królewskim mieście to nie tylko chodzenie na wykłady w KSW czy wkuwanie do egzaminów przed sesją. To także przeczytanie czasem dobrego, starego Czechowa czy pójście do „Słowackiego”, „Starego” bądź „Bagateli” na jego sztukę. Warto o tym pamiętać.

Agnieszka Wasztyl

Kino „domowe”

A może sale dla jedzących i niejedzących?

Zasiadam w wygodnym fotelu. Ludzie powoli, aczkolwiek zwawo schodzą się do sali. Światło stopniowo gaśnie. Następnie przez kilkanaście minut oglądam bez większego zainteresowania zwiastuny kinowych nowości oraz kilka reklam. Nie marnując tego czasu, układam się w fotelu, sprawdzając przy okazji różne warianty ominięcia głowy kolegi z przodu. Niecierpliwie czekam na film...

No i się zaczyna! Najpierw walka z zamkniętą niczym sejf paczką chipsów. Mało praktyczne opakowanie nie daje tak łatwo za wygraną. Szarpanina kończy się jednak sukcesem zadowolonego zdobywcy poskromionej, szeleszczącej i doprowadzającej mnie do szału paczki skąpanych w tłuszczu ziemniaczanych plasterków. Później już tylko dźwięk torebeczki do ostatniego chipsa i chrup...chrup...chrup...

Sąsiad po drugiej stronie. Można by zapytać, jak długo zamierza pozostać w kinie. Dwa dni? Dłużej? Zestaw popcorn plus napój gazowany w wydaniu super-hiper-

mega. Nie robi, co prawda tyle hałasu, co chips, ale niestety popcorn nie jest całkowicie bezdźwięczny. Na domiar złego ktoś przypominał sobie, że ma batonik. Otwieranie przypomina manewry wojskowe. Szum, cisza i badanie reakcji przeciwnika. Jeszcze raz i chyba się udało, bo odgłos niemal ucichł.

Popcorn i chipsy są z solą. Wiem, nie odkryłam Ameryki, jednakże jak powszechnie wiadomo, sol wzmaga pragnienie. Toteż po posiłku przechodzimy do drugiego etapu „odżywiania w kinie”. Picie. Niekoniecznie ciche. Nie pomijając faktu, że gaz nagromadzony w gaszącym pragnienie widzu musi jakoś wydostać się na zewnątrz, bo biedak zapewne podzieliłby los smoka wawelskiego. Naturalnym odruchem jest beknięcie. Żeby jeszcze cichcem... Jeśli natomiast kilka sąsiadujących z gazowym wulkanem rzędów odczuje lekkie trzęsienie podłogi, to już inna historia. Nie wspominając o ryku, jaki wydobywa się z otchłani kinowej ciemności.

Bardzo popularne są również urocz

bręczące tic-taki i cukierki w „ortalionowych” papierkach. Gdyby to były dzieci, to jestem w stanie zrozumieć. Choć może i nie. Gdyż należałoby właśnie dzieci uczyć, że kino to nie pub, bar szybkiej obsługi etc. Kiedyś tego nie było - tak twierdzi moja mama i jej wierzę. Moda na jedzenie podczas seansów filmowych została importowana. Kinowe molochy kuszą kolorowymi fast-foodami, proponując jednocześnie przekąski, które wnosimy na salę.

Wyjściem bez wątpienia byłby podział na sale dla jedzących i niejedzących. Zakaz spożywania pokarmów bowiem nie wchodzi w ogóle w rachubę. Lecz patrząc na ogólną aprobatę podziału na miejsca dla palących i tych bez nałogu, to wprowadzenie swoistego podziału w kinach byłoby doskonałym rozwiązaniem. I jeszcze jedno. Po pełnym wrażeń seansie uważnie patrzcie pod nogi. Poślizg na rozlanej pepsy-coli czy innej fance z domieszką popcornu to naprawdę nic przyjemnego. Przy okazji pozdrawiam tych, co chodzą do kina...

Gabriela Kózka

Dziennikarstwo: zawód czy misja?

Ubiegły rok był dla środowiska publicystycznego wyjątkowo niefortunny. Odeszli dwaj świetni dziennikarze, obaj w tragiczny sposób. Zabity w Iraku legendarny korespondent wojenny, Waldemar Milewicz i pokonany przez bardzo rzadką chorobę nowotworową, prezenter „Faktów” Marcin Pawłowski. Udowodnili nam, iż dziennikarzem się nie bywa, ale się nim jest...

W pierwszej piątce laureatów nagród Grand Press 2004, w plebiscycie na Dziennikarza Roku, decyzją kolegów redakcyjnych prasy, radia i telewizji z całej Polski, znalazło się dwóch niezwykłych dziennikarzy. Pierwszymi dwoma miejscami zostali uhonorowani pośmiertnie Marcin Pawłowski i Waldemar Milewicz.

Nagrodę Dziennikarza Roku przyznają sami dziennikarze za wybitne osiągnięcia w pracy, promowanie światowych standardów i przestrzeganie etycznych kanonów zawodu. Tym razem redakcje niewątpliwie chciały także oddać hołd odwadze i poświęceniu, dzięki którym obydwaj laureaci udowodnili, iż to, co robili, nie było tylko zawodem, sposobem na zdobywanie pieniędzy, ale czymś więcej. Czymś na tyle ważnym, że pozostali temu wierni do końca, że podporządkowali i poświęcili temu życie.

W dzisiejszych czasach szczególnie trudno na dłuższą metę o jakiś wiarygodny

autorytet, wzór do naśladowania. Dla fascynatów i adeptów tej trudnej sztuki, jaką jest uprawianie rzemiosła dziennikarskiego, niezłomna i rzetelna postawa znaczy bardzo wiele. Pomaga uwierzyć w sens tej pracy i w to, że „nie samym chlebem człowiek żyje”. Nierzadko poszukuje się i wymyśla fantastycznych bohaterów. Nie dostrzegając, że prawdziwi żyją wśród nas. Oczy otwierają się nam dopiero przy naświetleniu ich życiorysów po śmierci. Powinniśmy się uczuć dostrzegać i doceniać ich już za życia. I dążyć do tego, by stać się nie tylko równymi, ale nawet lepszymi od nich, bo oni sami zapewne tego by sobie życzyli.

W tym miejscu rzecz sprowadza się do powszechnie znanego i starego jak świat dylematu: być czy mieć? Już na tym etapie życia, jakim są studia, kształtujemy się w określonym kierunku i podświadomie dokonujemy wyboru. Istnieją dwie zasadnicze drogi, choć można też poszukiwać

złotego środka: być, ale tak, żeby też coś mieć. Sądzę, że to całkiem sensowne, zważywszy jednak, iż bardzo rzadko okoliczności pozwalają na wybranie takiej opcji. Tym bardziej potrzebne są więc przykłady heroicznego poświęcenia, byśmy nie utracili wiary we własne ideały już na starcie, co jest raczej domeną zrezygnowanych rutyniarzy w pewnym wieku, którego dla własnego bezpieczeństwa dokładniej tu nie określam...

Dla dwóch ludzi, których zdecydowałem się tu wspomnieć, dziennikarstwo było misją i sensem życia. Jednakże na co dzień stykam się z dziesiątkami takich, którzy traktują to zgoła inaczej. Trudno jest wytrwać przy obranym kursie przy takich proporcjach. Jednakże wiem, że nie jest to tylko mój problem, ale i wielu innych, którzy pragną realizować swoje dziennikarskie powołanie. A to dodaje skrzydeł...

Bartłomiej Misiniec

Nie, dziękuję - nie czytam

Jesteśmy daleko w tyle za Zachodem, jeżeli chodzi o technikę. Nie nadążamy za państwami Europy, jeśli chodzi o jakość i ilość dróg szybkiego ruchu. Wypadamy tragicznie, gdy porównujemy zarobki, jakość życia, komputeryzację itd. Czy jest coś jeszcze, czego możemy się wstydzić? Niestety, Polak już nieraz udowodnił, że jeśli chce, to potrafi, i pokazał całemu światu, nie wiedząc nawet, że wbił sobie kolejny gwoździć do trumny, iż czytanie w kraju między Odrą a Bugiem jest równie popularne jak... gra w krykieta.

Magia liczb

Na początku skupmy się na zagranicy. Od 1980 roku podwoiła się na świecie sprzedaż książek. Według prognozy w 2005 roku wydatki na książki wyniosą 105 mld dolarów. Najwięcej czyta się na północy Europy, a najbardziej odczytanym społeczeństwem są Szwedzi. 71.8 proc. ludzi zamieszkających w tym kraju regularnie sięga po książkę. Zaraz za nimi mamy Finów - 67 proc. i Brytyjczyków - 63.2 proc. Niestety, przy północy dość słabo wypada południe starego kontynentu. Jednak różnice w położeniu geograficznym nie mają żadnego znaczenia. Dwa odległe od siebie państwa, których śródlądowy klimat obdarzył swoich obywateli gorącym, aczkolwiek różnym temperamentem, nie uchronił ich przed „chorobą antyliteracką” - w Portugalii 37 proc., a w Grecji 46 proc. ludzi czyta regularnie. Podobnie przedstawia się sytuacja z intelektualną konsumpcją czasopiśmiennictwa. Przodują północ Europy: w Skandynawii 77 proc. społeczeństwa sięga 5-7 razy w tygodniu po gazetę. Na południu jest to od 20 do 24 proc. Sprawdźmy zatem, co liczby mówią o nas...

Co z tą Polską?

Nasze społeczeństwo wypada w porównaniu z Europą fatalnie. W ciągu ostatniego roku połowa z nas nie przeczytała ANI JEDNEJ KSIĄŻKI! Co trzeci Polak sięga po nią sporadycznie. 30 proc. książek, które wpadną nam w ręce, czytamy z konieczności - są to bowiem podręczniki szkolne. W ciągu ostatniego roku 63 proc. naszego społeczeństwa nie dokonało zakupu żadnej książki, a gazety regularnie kupuje tylko 15 proc. Dlaczego nie kupujemy? Bo uważamy, że książki są za drogie. Narzekamy, że w czasach PRL-u było taniej. Książki były wtedy faktycznie tańsze, ale dlatego, że państwo wyznaczyło sobie misję dofinansowania wydawnictw. Teraz, w dobie kapitalizmu, gdzie wszystko wychodzi z prywatnych rąk, a państwo ma problem z dofinansowaniem leków, książka

w twardej oprawie kosztuje przeciętnie 40 zł. Odbija się to na domowych bibliotekach. 10 proc. gospodarstw w Polsce otwarcie przyznaje, że nie ma w domu ani jednej książki! Brak czytania wpływa niekorzystnie na nasz intelekt. Badania naukowe udowodniły, że dzieci, którym regularnie się czyta, mają w nauce o 30 proc. lepsze wyniki od swoich „nieoczytanych” rówieśników. Brak opanowania płynnego czytania do 15 roku życia niemal eliminuje możliwość zrozumienia w przyszłości najprostszego tekstu. Brzmi to strasznie, ale pamiętajmy, że czytać nie znaczy kupować. Jeśli ktoś naprawdę chce zdobyć jakąś książkę, może bez problemu udać się do biblioteki, która powinna być w każdym, nawet małym miasteczku. Ponadto każdy ma znajomych, którzy chętnie pożyczą książkę. Wystarczy poprosić.

Mało i ciagle za mało...

Obecnie mamy o 1200 bibliotek mniej niż 15 lat temu. Jest mniej, bo nie ma pieniędzy. Księgozbiór w przeciętnej polskiej bibliotece ma powyżej 10 lat. Książki są stare i zniszczone, co oczywiście odstrasza od odwiedzania tych miejsc. Dostęp do Internetu gwarantują tylko niektóre z nich. W Polsce kupuje się rocznie 6 nowych książek na 100 tysięcy mieszkańców. Najgorzej jest na terenach wiejskich. Są jednak w Polsce podejmowane próby modernizacji bibliotek i przyciągnięcia do nich ludzi. W kilku miastach Polski powstały już biblioteki, które poza książkami stwarzają młodym ludziom możliwość pracy na komputerze oraz gry na konsolach. Są one finansowane poprzez niewielki abonament, jaki zobowiązane są płacić osoby korzystające z biblioteki, co zapewnia jej płynność finansową. Jest to bardzo dobre rozwiązanie, lecz niestety nie wszystkich stać, by płacić nawet małe sumy. Realia polskiego bytu często stawiają ludzi przed wyborem: na co przeznaczyć i tak małe pieniądze? Moim zdaniem (i zapewne wielu z Was) to państwo powinno dbać o obywatelską edukację i rozwój młodego pokolenia, które przecież jest jego przyszłością...

Paweł Pluta

Obywatel, który bajek o szklanych domach ma już dość, który niepostrzeżenie wyrósł na Europejczyka, dla którego feudalizm i przywiązanie do ziemi to żaden powód, by znosić poczynania panów w drogich, dobrze skrojonych garniturkach, za nasze pieniądze rozbijających się limuzynami...

Polska - mój dom - mój kraj

Trzeci miesiąc 2005 roku dobiega końca. Trudno oceniać NOWY rok zaledwie po tych kilkudziesięciu dniach, jakie upłynęły od szampańskiej zabawy pod tytułem sylwester. Poczucie radości skąpanej w promilach zniknęło. Podobnie jak syndrom przebalowanej nocy. Jednak przeszłość niewątpliwie determinuje przyszłość. Echo minionych wydarzeń niesie się w powietrzu. Choć w moim odczuciu to nie wspomniane echo, ale swąd afer, dym matactw, kurz i brud skandali, porozumień podawanych pod płaszczykiem „nieporozumień” itd. Wymieniać można bez końca, jednak nie o to chodzi.

„Za oknem budzi się z letargu szary zwier - mój kraj” - śpiewa mój ulubiony zespół. A ja budząc się rano, nucę pod nosem smutne słowa, paraliżujące prawdziwością. Dalej to leci tak „w gazecie czytam, że znów coś zdarzyło się; ktoś kogoś okradł tak że słów az brak; ktoś zrobił skok na bank, całkiem na blanc, a bank to ja!” Słowa piosenki spisane stosunkowo dawno okazały się wręcz przepowiednią dla dnia dzisiejszego. Śmiem nawet przypuszczać, że dnia jutrzejszego i następnych. Nie zapytam jak pewien Lis, bo jako młoda osoba mam inne pytanie, które cisnie się na usta: co dalej? Nie będę się jednak bawić w proroka. Aczkolwiek cieszę się, że stosy już nie płoną...

Obraz Polski, kraju-domu niemal 40 milionów ludzi, nie napawa optymizmem. Prawo idzie na lewo. Trzeba się starać, by się nie zabić na pozornie prostej drodze zgodnie ze słowami: „ulicą idę, a ta ulica ma - to chyba szwajcarski ser”. I na całkowite podsumowanie, lecz nie ostatniego roku, ale 15 lat, muszę dodać: „Miało być inaczej, wiem, chyba nie udało się; ktoś po drodze ciała dał, zresztą popatrz sam!”.

Coraz częściej spotykam się z opinią młodych osób, które są przyszłością naszego kraju, że nie czują się specjalnie związane ze swoją ojczyzną! Argumenty popierające ich opinie nie są pozbawione sensu, chociaż niemilosierne w stosunku do Pani Polski. Zdezelowanej Pani Polski należy dorzucić, by podnieść tragizm. O niczym innym nie można bowiem mówić, jak tylko i wyłącznie o tragedii, której by się nawet Grecy nie powstydzieli. Dlaczego tak jest? Widzę jedną mądrą odpowiedź. Ludzie, którzy kiedyś, w prehistorycznych dla nich czasach, tj. około roku 1990, szli jak jeden mąż do „współ-nego”, zboczyli z obranego kursu, gdy na ścieżce pojawiły się różne wskazówki, że istnieje też „moje”. Owo „moje” jest

o wiele korzystniejsze. Oczywiście dla szczęśliwego, choć niekoniecznie uczciwego posiadacza. Nabywanie stało się ulubionym zajęciem ludzi z poszczególnych poziomów ziemskiego nieba. Scena polityczna przypomina zoo. Zaczęło się od króla zwierząt, potem pojawiła się drobniejsza zwierzyna, a stało na przedomowym drapieżniku. Przerabialiśmy epizod z biżuterią, choć i tak mam wrażenie, że to, co noszę w uszach, trochę inaczej się pisze. Zasięg tematyczny jest szeroki, włączając w to również dni tygodnia, jak i owoce.

Cyrk, jaki panuje wśród tzw. elity, to wręcz kraina miodem i mlekiem płynąca dla tych, którzy potrafią kojarzyć fakty, osoby i zdarzenia, wymyślając wyszukane dowcipy. Bohaterowie kawałów, cieszących się coraz większą popularnością, to niestety osoby, na które głosowaliśmy. Czy zatem nie śmiejemy się z samych siebie, podstawiając jedynie odpowiednie nazwiska do kontekstu? Nie będę odpowiadać na to pytanie. Bo mam prawo wyborcze. Jedno natomiast jest pewne: nie jest jeszcze z nami aż tak źle, skoro w ogóle się śmiejemy. Co innego, jeśli chodzi o powód do śmiechu. Żalotne. Żalotni - to lepiej pasuje. I nie piszę w tym momencie o wyborcach. Czujemy w końcu solidarność w obliczu wspólnej klęski, skądinąd na własne życzenie. Ale mądry Polak po szkodzie, a i czasu się nie da cofnąć...

„Mój dom to te szare ulice; mój dom to kolejka po pracę; mój dom to ci smutni ludzie...”. Mój dom? Wcale nie jestem przekonana. Mimo że nie chciałabym wyjeżdżać z Polski, by szukać szczęścia, godziwych pieniędzy czy jeszcze czegoś innego. Patriotyzm? Nie wiem. Po prostu „to jest mój kraj, mój dom, w którym żyję; piekielny raj, ja tu tkwię aż po szyję; to jest mój kraj, wszystko w nim jest możliwe: to jest mój kraj, to jest mój dom”. I chociaż sama siebie pytam coraz częściej: o co chodzi, co się dzieje?, to nie chcę myśleć, że sytuacja społeczno-gospodarcza mogłaby mnie zmusić do opuszczenia „mojego domu”. Nie patrzę więc (jak co niektórzy) na Polskę jak na wynajmowane mieszkanie, takie na teraz, na jakiś czas, a potem się zobaczy. Raczej podpiszę się pod słowami brzmiącymi tak: „te brudne dworce, gdzie spotykam ją; te tłumy, które cicho klą; ten pijak, który mruczy coś przez sen, że póki my żyjemy, ona żyje też”.

Zyczałabym sobie oraz Wam, młodym Polakom, by sfera sacrum naszej władzy

zeszła na ziemię. Ale nie jako zjawy z innego świata, które niby to mówią o Polsce, lecz nijak to pasuje do tego, co widzi, czuje szary zjadacz polskiego chleba. Niezwykły obywatel. Obywatel, który bajek o szklanych domach ma już dość, który niepostrzeżenie wyrósł na Europejczyka, dla którego feudalizm i przywiązanie do ziemi to żaden powód, by znosić poczynania panów w drogich, dobrze skrojonych garniturkach, za nasze pieniądze rozbijających się limuzynami.

Ktos może powiedzieć, że tak jest prawie w każdym państwie. Różnica tylko taka, że na razie najzwyczajniej nas, państwa na to nie stać. Ale lepiej odciąć dopływ finansów na dole, niż ruszyć dobrze sytuowaną górę. Przepaść między bogatymi a biednymi jest wielka, frustracja narasta i dlatego mądry inaczej „lubiący brząz” zyskuje na popularności. Poza tym rozpoczął się na całego proces podziałów na klasy. Śmiesznie to brzmi.

Prawda natomiast przedstawia się następująco. Ludzie, którzy skończą jakieś tam studia, ale ogólnie mają wyższe wykształcenie, zamykają się na plebs, nie obrażając nikogo. Toteż powstają półświatki. My to my, oni to oni. Świat nas otaczający robi się czarny albo biały, rzadko się dostrzega barwy pośredniej. Ktoś jest z nami albo przeciwko. Szkoda czasu na dykusje. Tak albo nie. Czarny kot czy biały pies? A i tak większość z nas wie, że jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze...

Dragonfly

Złota Praga

22-25.04.2005

Wycieczka organizowana przez Samorząd Studentów KSW

W programie m.in.:

- spotkanie na Uniwersytecie Karola
- zwiedzanie Pragi z przewodnikiem m.in. Stare Miasto: Wyszehrad, Brama Prochowa, Złota Uliczka, Most Karola, Kościół Tyński, Rynek, Wieża Ratuszowa
- Swiadczenia zawarte w cenie:
 - transport autokarem klasy lux, 1 nocleg w hotelu na obrzeżach Pragi
 - wyżywienie (śniadanie, obiadokolacja)
 - opieka pilota i przewodnik po Pradze, ubezpieczenie KL i NNW

cena: 260 zł

Szczegółowych informacji udziela Samorząd Studentów w trakcie dyżurów (pokój 043)

„DNI KARIERY”

Twoja droga do sukcesu

„Dni Kariery” organizowane przez organizację AIESEC zdążyły w ciągu 12 lat ugruntować swoją pozycję na rynku. W zeszłorocznej krakowskiej edycji wzięły udział 33 firmy i instytucje oraz odwiedziło je 12 tysięcy studentów.

Rokrocznie targi są doskonałą okazją dla licznej rzeszy studentów i absolwentów krakowskich uczelni do zapoznania się z szeroką gamą oferowanych przez wystawców praktyk, stażów, czy nawet ofert stałego zatrudnienia. - „Dni Kariery”, mimo iż odbywają się na Akademii Ekonomicznej, nie są skierowane wyłącznie do studentów nauk ekonomicznych” - mówi Kinga Jankowicz, z organizacji AIESEC. - Oprócz banków i firm konsultingowych prezentować się będą firmy z branży spożywczej, paliwowej, ubezpieczeniowej oraz IT. Co bardzo cieszy, odwiedzają nas coraz liczniej studenci AGH oraz Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Dzięki tej różnorodności osoby uczestniczące w „Dniach Kariery” mogą porównać i ocenić oferty kilkudziesięciu przedsiębiorstw oraz instytucji, a dla firm to idealna okazja na rozeznanie się na rynku pracy.

Obie strony odnoszą także inne korzyści. Firmom targi pozwalają na bliższy kontakt z przyszłymi pracownikami, a przez to także na tworzenie pozytywnego wizerunku firmy. Dla studentów esencją „Dni Kariery” jest bezpośredni kontakt z przedstawicielami wystawiających się firm. Daje on możliwość prowadzenia otwartej rozmowy na temat zatrudnienia, kultury organizacyjnej, realizowanych projektów i atmosfery pracy. - W zeszłym roku dostałam się na praktykę w jednym z banków - wspomina Dominik student IV roku. - Decyzję o złożeniu aplikacji podjąłem po rozmowie z konsultantem, który przekonał mnie do programu, dzięki, któremu

zdobędę cenne doświadczenie tak potrzebne szczególnie w dzisiejszych realiach.

Studenci cenią i chwalą sobie tę imprezę: - Jeszcze nie podjęłam decyzji, gdzie bym chciała pracować w przyszłości, ale CV mam gotowe do wysłania - śmieje się studentka V roku AE. - Liczę, że dzięki odwiedzeniu targów dowiem się, na co firmy zwracają uwagę przy rozmowie kwalifikacyjnej oraz jak wygląda cały proces rekrutacji.

Merytoryczną częścią projektu jest Akademia Umiejętności, organizowana zarówno podczas targów, jak i w innych terminach. W jej skład wchodzi wykłady, szkolenia, prezentacje firm czy też bardzo popularne wśród studentów studium przypadku (Case Study). Akademia Umiejętności pozwala studentom nie tylko zapoznać się z konkretną ofertą potencjalnego pracodawcy, ale także zdobyć wiedzę, która pomoże im odnaleźć się na dzisiejszym rynku pracy.

„Dni Kariery” odbędą się 22 marca 2005 roku na Akademii Ekonomicznej w Krakowie.

Zapraszamy na naszą stronę: www.dnikariery.pl

AIESEC

Zeszłoroczną edycję odwiedziło 12 tysięcy studentów...



... a udział wzięły 33 firmy

Prywatny wstyd

Czy szkolnictwo prywatne w Polsce drastycznie różni się od państwowego? Ile mają w sobie prawdy plotki na temat kupowania wpisów, niskiego poziomu zajęć, trudności ze znalezieniem pracy „po prynciarzu” i kto je tak naprawdę rozsiewa?

Student jaki jest, każdy widzi

Jakiś czas temu na łamach „Mixera” pisaliśmy o żenującym poziomie niektórych studentów. Jednak nie wprowadzaliśmy żadnych rozróżnień na tych „państwowych” i „niepaństwowych” być może dlatego, że takie podziały są zupełnie nielogiczne. Przynajmniej w naszych czasach, kiedy zaciera się granica między „elitą” a pozostałymi uczelniami.

Student to nie jakiś osobny gatunek o określonych cechach fizycznych czy psychicznych, chociaż... czasami można by było się pokusić o takie rozważania. W istocie za tym określeniem stoi pojedynczy człowiek, każdy inny, każdy wyjątkowy. Absolutną nieprawdą są więc poglądy, jakoby na prywatnych uczelniach można było spotkać samych nieudaczników, nieuków czy cwaniaków. Wszystko zależy od człowieka. Od jego nastawienia do nauki i od autorytetów, które wyniósł z domu. Tak jak na niepaństwowej tak samo i na państwowej uczelni można spotkać leserów, debili i beczelną „złotą młodzież”. Na imprezach jednak ludzie bawią się ze sobą, nie legitymując indeksem danej uczelni. Wtedy tak naprawdę dostrzega się, jak bardzo podobne są do siebie oba środowiska. I jedno, i drugie ma studencką, uląską fantazję. Ale zarówno jedni, jak i drudzy, potrafią przedstawiać sobą żenująco niski poziom.

Iluz to mamy wielkich przyszłych lekarzy, prawników, filozofów z elitarnych uczelni, z którymi po pierwsze nie bardzo można się dogadać, a po drugie wstyd gdziekolwiek wyjść! Nie przyklejamy ludziom etykietek ze względu na rodzaj finansowania uczelni. Patrzymy na zaangażowanie, ambicje, zachowanie oraz kulturę osobistą. Na prywatnych uczelniach zarzuca nam się pozerstwo, szpanowanie samochodami, żerowanie na pieniądzach rodziców. A i owszem, i takiego beztróskiego elementu u nas nie brakuje, co nie zmienia faktu, że nie jest to postawa przypisana niepublicznej uczelni.

Każdy zna kogoś takiego z jednej z tych

tak zwanych elitarnych uczelni. Tam również pełno jest rozpieszczonych cwaniaczków, którzy „chcą mieć jakiś papier”, żeby potem jak tata będzie załatwiał pracę, nie świecił oczami, że dziecko tylko po maturze. Student jaki jest, każdy widzi, i nie potrzeba do tego wglądu w indeks.

Poziom poziomowi nierówny

Według najnowszych sondaży poziom nauczania na niektórych kierunkach np. socjologia, zarządzanie, bankowość czy psychologia jest dzisiaj znacznie wyższy na uczelniach prywatnych. Prawdopodobnie wynika to z większego zaangażowania wykładowców w prowadzenie zajęć oraz lepszych warunków pracy.

Szkoły prywatne zazwyczaj mieszczą się w nowoczesnych budynkach. Inwestują w sprzęt elektroniczny, zapewniają wyższe standardy nauki. Klimatyzowane sale, dostęp do komputerów, ekranów etc. pomagają prowadzić edukację w znacznie ciekawszy sposób. Jeśli tylko wykładowca potrafi korzystać z takich ułatwień, może doskonale urozmaicić swoje zajęcia, a przez to lepiej dociera do studentów.

Magda uczy się na jednym z bardziej popularnych kierunków na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ma jednak, wbrew pozorom, bardzo dużo czasu dla siebie. Wiele zajęć się nie odbywa, ponieważ nie ma wolnych sal. Bardzo sporadyczne kolokwia pisane są niekiedy na korytarzu. Kilka razy nie udało się też zrobić sesji zimowej, ponieważ wykładowcy nie mieli albo czasu, albo miejsca. Toteż egzaminy zostały przeniesione na lato. Na niektóre wykłady Magda i jej koledzy muszą się zapisywać kilka miesięcy wcześniej! Kto pierwszy, ten



lepszy? Krzesła na aulach trzeba zajmować czasami nawet godzinę przed wykładem, bo kto się nie zmieści (a takich jest wielu) i będzie stał, jest wypraszany z sali.

To prawda, że uczelnie państwowe są niedoinwestowane. Jednak gorsze jest to, że jakiś czas temu postawiły na ilość, a nie na jakość. Przechwalanie się liczbą kandydatów na jedno miejsce nie powoduje podniesienia poziomu, ale raczej spadek wydajności.

Uczelnie niepubliczne też czasami borykają się z kłopotami, jednak zajęcia odbywają się regularnie. Studenci nie czują

się zaniedbywani. Zarzucanie nam, „prywatniarzom”, że nasza nauka to prowizorka, to absurd! Obowiązkowe ćwiczenia, często również wykłady mobilizują do systematycznej pracy. Czasami ilość przedmiotów i egzaminów naprawdę może przyprawić o zawrót głowy.

Nie ma też co gloryfikować „państwowych” wykładowców, szczególnie że właśnie ci sami wielcy profesorowie i doktorzy uczą w szkołach prywatnych. Oni jakoś nie gardzą młodzieżą, która

dzisiejszych realiów. Uczą naprawdę praktycznych rzeczy. Idą z duchem czasu. Wiedzą, że teraz nauka musi być na miarę XXI wieku. Przyszłość na rynku pracy leży nie w teoretyzowaniu i oderwanych od ziemi filozoficznych rozważaniach, lecz w znajomości technik marketingowych, komunikacyjnych i autoprezentacji.

Ponad 300 szkół prywatnych stworzyło obecnie bardzo silną konkurencję dla 83 szkół państwowych, czego dowodem może być, chociaż to, że około 70 proc. wszystkich nagród na wszelkich międzyszkolnych olimpiadach i konkursach zdobywają właśnie uczniowie ze szkół niepublicznych. I chyba to nie jest żaden przypadek, ale potwierdzenie moich wcześniejszych słów.

Absolwenci

Plotka, która głosi, że dyplomy szkół niepaństwowych są gorzej widziane przez pracodawców, jest wyszana z palca. W tej chwili liczą się umiejętności, komunikatywność, poziom intelektualny i praktyka. Firmy są mniej zainteresowane, jaką uczelnię skończył kandydat, a bardziej tym, co sobą reprezentuje, na co go stać i jaką korzyść będą z niego miały jako pracownika.

O studentach szkół prywatnych mówi się, że są lepiej przygotowani do zawodu. Dlatego też mogą wybierać w większej ilości ofert. Szczególnie chętnie widzą ich firmy zagraniczne. Student „prywatny” lepiej zna języki obce, jest bardziej obrotowy i często może się pochwalić dwoma, trzema praktykami, nierzadko we własnej firmie.

Absolwenci liceów też coraz częściej zaczynają się decydować na uczelnie niepaństwowe. Kiedyś były one jedynie alternatywą dla tych, którym powinęła się noga podczas egzaminów na „normalne” studia.

Dzisiaj często jest to świadomy i zaplanowany wybór. Rodzice chcą opłacać przez pięć lat dobrą szkołę, gdyż wiedzą, że taka nauka to inwestycja, która przyniesie kiedyś wymierne korzyści.

Plotki

Niełatwo jednak być studentem szkoły prywatnej. Trzeba być świadomym, że krąży wiele głupich i bezpodstawnych plotek oraz anegdot na temat płatnego nauczania. Nie wiadomo właściwie, skąd się one biorą, ale bardzo prawdopodobne, że są formą jakiejś przemyślanej akcji mającej obniżyć nasze notowania.

Bardzo często mówi się o rzekomym kupowaniu wpisów, czego jednak nikt nigdy nie widział. Nie mówi się natomiast na głos o tym, że student „prywatny” jest przyzwyczajany od początku, iż za lenistwo w życiu się płaci, i doskonale wie, że obłany egzamin to 40 zł mniej w jego kieszeni. Zapewne dlatego nie ma „wiecznych studentów” na uczelniach niepaństwowych.

Ciągłe deprecjonowanie studentów szkół prywatnych jest chyba wynikiem obawy szkół publicznych przed ogromną konkurencją, która rośnie im pod nosem. Zamiast nawiązywać współpracę albo czerpać wzorce, wolą umniejszać rolę przeciwnika.

Jednak to, że inni źle o nas mówią, to nic w porównaniu z tym, jak sami mówimy o sobie. Plotkarstwo przeszło na samych „prywatniarzy”. Tak bardzo daliśmy się zmanipulować, że powstał w nas jakiś wewnętrzny wstyd przez to, gdzie się uczymy. To przedziwna forma obłędu: zamiast dumy - oczy w podłogę. Tak jakby nasza praca włożona w naukę była gorsza.

Bardzo przykre jest również to, że studenci sami mówią o sobie, że uczelnia prywatna jest w ich życiu dziełem przypadku i że „magisterkę” planują robić na uczelni z renomą. To jakaś asekuracja przed atakami ze strony społeczeństwa. Bo w Polsce ciągle jeszcze nie przywykliśmy do szkół prywatnych. Możliwe, że wynika to z natury Polaka, który przyzwyczajony do łapówkarstwa, tkwi w przekonaniu, że na tej samej zasadzie przechodzi się z roku na rok na uczelniach prywatnych. Zresztą wszystkiego, co nowe, trochę się boimy.

Tak naprawdę nie wiadomo, skąd się bierze ten prywatny wstyd i kto rozpuszcza szykany. Jednak pogarda w głosie studentów państwowych, gdy mówią o studentach niepaństwowych, brzmi często bardzo wyraźnie i niestety jeszcze długo będzie nie do wytępienia.

Najważniejsze jest jednak to, żeby się nie wstydzić swojej uczelni i potraktować ją jako mądry i dojrzały wybór. Ktoś kiedyś powiedział, że można się uczyć wszędzie, wystarczy tylko chcieć. Tak naprawdę nie ma uczelni prywatnych i państwowych. Są lepsze i gorsze. Identyfikacja jest ze studentami. Jeśli człowiek odczuwa potrzebę nauki, chce mądrze pokierować swoim życiem, jest w stanie to zrobić wszędzie. Jeżeli za to płaci, to jeszcze lepiej, bo już na starcie kariery uczy się inwestowania. Inwestowania w siebie.

Żaba



Najwyższy czas zauważyć, że indeks „prywatniarza” niczym się nie różni od indeksu uczelni państwowej

podjęła tu naukę. Poza tym tutaj ludzie czują się swobodniej. Nie chodzi o to, że nowe mury odbierają wykładowcom dostojeństwo. Jednak marka uczelni nie przytłacza tak uczniów, mury, które oglądały np. Kopernika nie ściskają gardła w obawie przed „głupim pytaniem”. Dlatego strach przed polemiką i dyskusją z autorytetem jest znacznie mniejszy. Zdobyta wiedza to nie tylko dzieło wkuwania notatek i czytania książek, ale aktywna forma rozwoju i pobudzanie mózgu.

Prywatne uczelnie przez to, że są młode, bardzo dobrze dopasowały się do

Student, znaczy zaradny

W naszym pięknym kraju są dwa antagonistyczne sposoby przebywania na studiach. Każdy musi sobie odpowiedzieć na pytanie, czy przyszedł tu studiować, czy się uczyć. Różnica jest zasadnicza.

Pojęcie „uczyć się” nie wymaga żadnego tłumaczenia. Natomiast za pojęciem „studiować” może się kryć bardzo wiele rzeczy. Studiowanie, w dosłownie kilku słowach, to: zabawa, znajomi, imprezy, śniadki, zarwane noce, mnóstwo wspomnień, życie chwilą i jeszcze wiele rzeczy, w zależności od jednostki studiującej. Gdyby wszystko było czarne bądź białe, nie byłoby problemu. Gdyby życie było sprawiedliwe, to uczący się powinni mieć w życiu lżej niż studiujący. Niestety, tak nie jest. Prawdopodobnie większość skończy studia, otrzyma ten sam dyplom i stanie do walki o posadę. Jedni będą mieć większą wiedzę, inni niesamowitą siłę przebicia. Właściwie wszyscy uzyskają podobne szanse, nie biorąc pod uwagę powszechnie funkcjonujących układów i znajomości.

Pojęcie „trzeciej drogi” w krótkiej historii III RP już się zdevaluowało, choć może warto by co nieco z niego wyciągnąć. Studiujemy po to, aby później żyło nam się łatwiej, przyjemniej. Takie jest podstawowe założenie przed podjęciem nauki. Inwestujemy w kilka lat nauki z zamiarem, że nakłady poniesione na studia zwrócą nam się z nawiązką. „Młoda krew” ma jednak swoje prawa. Niewielu potrafi oddać się w całości nauce. Trzeba przecież trochę pożyć. Model idealnego studenta? Powinien być inteligentny i koniecznie bystry, musi mieć w życiu jakąś pasję (niech kierunek studiów będzie tego wyrazem), powinien być zaradny (założmy, że dorabia wieczorami jako kelner lub kelnerka, poznaje wielu ludzi), musi mieć przyjaciół (znajomi to za mało). Raczej uczciwy, w trakcie sesji uczy się, rozwija swoją pasję poza murami uczelni. To jeszcze nie

wszystko, ale do puenty spokojnie wystarczy. W naszej rzeczywistości nie ma rzeczy białych ani czarnych, a idealny student wyszedł nam strasznie szary. Szary nie znaczy nudny, nie znaczy nijaki. Ten kolor jest lekarstwem na białe, zahukane mole książkowe i brzdąców w czarnych kurtkach ze skóry, siedzących w samochodach tatusiów. Jeżeli wreszcie studenci przestaną patrzeć na skrajności, okaże się, że tych najciekawszych postaci, pracowitych i sprytnych zarazem jest sporo. Nie da się żyć z dala od rzeczywistości i nic nie pomoże samochód taty czy same piątki w indeksie. Niestety tych krzyczących najgłośniej widać najbardziej. Szkoda, bo szara masa okazuje się ciekawsza niż banda fantazjujących krzykaczy czy bojących się oderwać wzroku od książek marzycieli, którzy nawet nie zakładają, że coś w życiu może pójść nie po ich myśli.

Warto studiować po to, żeby dowiedzieć się tego, co nas NAPRAWDĘ interesuje, by poznawać prawdziwych, ciekawych ludzi, by bawić się czasem rozsądnie, ale kilka razy można zrobić sobie dyspensę i „dać ognia”. Studenci to młodzi ludzie, a młodość ma swoje prawa. Pamiętajcie, że później już nigdy nikt nie będzie was rozliczał za błędy tak łagodnie jak teraz. Jeżeli tylko zachowacie resztki zdrowego rozsądku, przeżyjecie najpiękniejsze chwile w życiu i nawiążecie znajomości, które będą procentować przez całe życie. Nie warto zwracać uwagi na pozy ludzi, którzy za wszelką cenę szukają akceptacji. Najczęściej za ich maską kryje się wielka góra kompleksów i mierne życie w cieniu innych.

Mateusz Peszka

Beksińskiego pamięci rapsod żałobny

Nie ma sensu pisać jak zginął, nie ma sensu pisać notki biograficznej. To wszystko już zostało powiedziane. Smutne, bo ten skromny i raczej zamknięty w sobie człowiek na pewno takiego rozgłosu nie chciał. Ani za życia, ani tym bardziej po śmierci.

Przyznać się muszę do grzechu zaniedbania. Takie mam zawsze uczucie, gdy zaczynam myśleć o artyście po jego śmierci. Tym razem moim zaniedbaniem jest pisanie o tak bardzo współczesnym malarzu dopiero teraz.

Zdzisław Beksiński miał to do siebie, że jego prace albo fascynowały, albo raziły i budziły kontrowersje. Jednak bez wątpienia z wielką siłą uderzały w wyobraźnię.

Sztuka tego malarza spełniała ważną rolę głównie dlatego, że przyciągała młodzież. Nie czarujmy się. Artyści nas nudzą. W dobie ruchomego obrazu wyprawa do muzeum staje się częściej szkolnym obowiązkiem niż przyjemnością. Prace Beksińskiego miały jednak w sobie to coś, co przykuwało wzrok znudzonych młodych ludzi. Kazały myśleć i patrzeć trochę głębiej. Były sporne, były nieokreślone. Były magicznie, fantastycznie współczesne. Łączyły najnowszą technikę komputerową ze szlachetnym światem malarstwa. Były piękne, straszne i ohydne.

Ideą sztuki jest to, że chociaż autora już nie ma wśród nas, ona jest. Jest ogólnodostępnym spadkiem, z którym każdy z nas może obcować. I właśnie do tego zachęcam. Nieważne, jakie będziecie mieli zdanie na temat tych prac. Ważne, że będziecie je mieć. One każą o sobie rozmawiać i zmuszają do polemiki.

Odszedł Artysta. Smuci to za każdym razem tym bardziej, że nowych jakby wciąż brak na horyzoncie. Dla mnie odszedł Wielki artysta. Czy dla Was również? - oceńcie sami.

<http://www.beksinski.art.pl/>

<http://www.beksinski.pl/>

<http://www.novumgallery.pl/beksinski/>

Żaba

Fenomen Grishama

„John Grisham to fenomen literacki: tylko on inkasuje tak niebotyczne honoraria autorskie, nawet za książki, które dopiero ma napisać...”

New York Times

Amerikanin, prawnik z wykształcenia, ale przede wszystkim powieściopisarz z powołania. Autor sensacyjno-obyczajowych powieści, które wprawiają czytelnika w trans i przenoszą go w inną rzeczywistość. Dzieje się tak, dlatego, że Grishamowi znane są ciemne strony prawniczego świata. Sam niegdyś jadł chleb za pieniądze klientów szukających ratunku w rozprawach sądowych. Nic zatem, co związane z adwokackimi sztuczkami, nie jest mu obce. Podaje niczym na tacy to wszystko, o czym laik nie ma bladego pojęcia. Ukazuje, jak chyba nikt, prawdę, że czasami trzeba być lwem i lisem, by dopiąć swego. Niestety, przedstawia też meandry prawa, które z uczciwością mają mało wspólnego. Jednak w jego powieściach nie ma zakłamania. Opowieści są takie, a nie inne, bo tak się przedstawiają realia prawniczego bytu.

Wiele z jego genialnych książek doczekało się ekranizacji. „Czas zabijania”, „Firma”, „Raport pelikana”, „Klient”, „Komora”, „Rainmaker”, „Ława przysięgłych”, „Wspólnik”, „Obrońca ulicy” stały się w ostatnich latach bestsellerami na całym świecie, przyciągając tym samym do kin miliony ludzi żądnych napięcia, dreszczyku emocji oraz zaskoczenia, gdyż każde dzieło Grishama wprawia widza w przyjemne zakłopotanie, kiedy historia kończy w najbardziej nieoczekiwany sposób. Również w Polsce kina były oblegane, kiedy

na srebrne ekrany wchodziły poszczególne powieści przeniesione na taśmę filmową. Mimo że filmy na podstawie jego książek wciskają widza w fotel, to jednak i tak nie można porównać nawet najlepszej, najwerniejszej ekranizacji z czytaniem. Słyszac zachwyt krytyków podkreślających niedościgniony kunszt pisarski adwokata z USA, wzięłam sprawę w swoje ręce...

„Testament” to książka, którą ostatnio pochłonęłam, a właściwie ona mnie wciągnęła na kilka dni w świat walki dzieci miliardera, który nieoczekiwanie popełnia samobójstwo, skacząc z 14 piętra swojego wieżowca. Losy sześciorga spadkobierców przeplatane z wątkiem prawnika po czterdziestce, którego życie rodzinne i zawodowe legło w gruzach na skutek alkoholizmu, to wspaniałe studium osobowości. Dzieci miliardera to krótko mówiąc banda darmozjadów. Grupa ludzi, która roztrwoniła dawno pieniądze ofiarowane każdemu z okazji 21 urodzin i teraz niczym sępy nad konającą ofiarą czekają na podział 11 miliardów dolarów, ale... No właśnie pojawia się jedno malutkie „ale”, które zmienia życie łasych na pieniądze spadkobierców w trwających dwa miesiące thriller.

Akcja trzymająca w napięciu do ostatniej kartki i mistrzowskie zakończenie, konflikty tak dramatyczne, że trudno sobie wyobrazić siebie samego w podobnych sytuacjach... Ponadto Grisham odsłania najgorszą i naj-

bardziej nikczemną część ludzkiej duszy. Całkowite dno ludzkiego zachowania. Brak jakichkolwiek skrupułów, byleby tylko posiadać obiekt westchnień, marzeń - pieniądze. Papierowe banknoty dla dzieci pana Phelana to całe niepojęte „wszystko”.

Zapewne wielu z Was obejrzało przynajmniej jeden z wyżej wymienionych filmów. Jeśli natomiast ktoś lubi taką tematykę, lecz zawartą na kartach książek, to szczerze polecam. Opisy gry adwokatów i snutych przez nich planów na bazie kłamstw to kwintesencja powieści. Do tego tempo akcji, które mogłoby cechować powieść przygodową. Zazwyczaj jednak każda historia ma drugie dno. Głębsze, poruszające psychologiczne i etyczne aspekty życia. Nawet bowiem prawnik w pierwszej kolejności jest istotą ludzką, rozumną i posiadającą uczucia i własne sito występku w postaci sumienia.

Niejednokrotnie bohaterowie Grishama przechodzą przemianę duchową, które są wręcz niewyobrażalną drogą z czeluści piekielnych do prawego postępowania. Zawsze jest obecna postać, która, pomimo że ma coś wspólnego z biegiem wydarzeń, to jednak nie ingeruje inwazyjnie w zaistniały spłot wydarzeń. Jej zadaniem jest istnienie w książce, lecz zazwyczaj ma ona zbawienny wpływ na czarną owcę powieści.

Niemożliwe? Sprawdźcie sami.

Na pewno się nie rozczarujecie.

Gabriela Kózka

Ulica miejscem życia

„Uliczny adwokat” Johna Grishama to powieść, która z pewnością poruszy serce każdego czytelnika. Jej główny bohater, Michale Brock, żyje w nieustannym pośpiechu. Wspinając się po szczeblach adwokackiej kariery, nie ma czasu na refleksje dotyczące swojego życia. Do pewnego momentu sądził, że wie, czego pragnie: luksusowego samochodu, drogich eleganckich ubrań, pięknej kobiety przy swoim boku i wspaniałej kariery. Przypadkowe spotkanie z bezdomnym wywraca cały jego świat do góry nogami. Wartości, którymi kierował się w życiu, ustępują miejsca innym. Bohater nie potrafi i nie chce uprawiać już dłużej zawodu prawnika tylko dla pieniędzy. Chce żyć i pracować w zgodzie z własnym sumieniem, dlatego któregoś dnia zostaje adwokatem ulicy. Sam Grisham, który również jest adwokatem z zawodu, przyznaje, że zanim zaczął pisać tę

książkę, nie martwił się specjalnie bezdomnymi, a już na pewno nie znał nikogo, kto by dla nich pracował. Zbierając materiały do swojej powieści, pisarz stałe kursował między swoim domem w stanie Wirginia a odległym o dwie godziny jazdy samochodem Waszyngtonem. Tam właśnie poznał i zrozumiał świat i zasady, jakimi kierują się bezdomni.

Myślę, że ta książka warta jest przeczytania, zwłaszcza że dziś wśród ludzi (nie tylko nas młodych) panuje znieczulica społeczna, potrafimy przejść obojętnie wobec cierpienia drugiego człowieka, nie dostrzegając tego, że przecież tak jak i my ma on swoje uczucia. Bezdomni to też ludzie - pamiętajmy o tym i nie skazujmy ich na samotność i odrzucenie tylko dlatego, że w którymś momencie życia szczęście odwróciło się do nich plecami!

Martyna Polak



Podobno jest to świetny sposób na odreagowanie całego tygodnia pracy czy nauki...

Airsoft

- zabawa w strzelanie

Hobby. Sposób odreagowania tygodniowego stresu. Gra w wojnę, lecz przede wszystkim doskonała zabawa oraz sprawdzenie swoich możliwości w terenie i współpracy z grupą.

Na świecie hobby to jest już dosyć rozpowszechnione. Organizowane są różnego rodzaju zawody i mistrzostwa. W Polsce jest stosunkowo młode. Znacząco zyskało na popularności oraz nabrało charakteru ogólnopolskiego wraz z pojawieniem się w lipcu 2001 roku WMASG (Witryny Maniaków ASG). Od tamtej pory grono pasjonatów poszerza się z dnia na dzień w miastach całej Polski. Dzięki WMASG polski airsoft (Air Soft Gun, w skrócie ASG) jest już znany także za granicą. Organizowane są ogólnokrajowe zloty, na które ściągają licznie maniacy z całego kraju, a nawet goście spoza jego granic. Imprezy te nie mają formy zawodów, ale jedynie spotkania się miłośników wspólnego obiektu zainteresowań. Rozgrywane są liczne scenariusze o charakterze paramilitarnym pomiędzy grupami uczestników. Liczy się dobra i kulturalna zabawa w doborowym towarzystwie.

Używana broń airsoftowa posiada napęd pneumatyczny. Pociskami są 6-milimetrowe plastikowe kulki. Wyróżnić można trzy klasy modeli Air Soft Gun:

1) sprężynowe - inaczej nazywane „pompkami”. W tych modelach kulkę wypycha ciśnienie wytworzone dzięki tłokowi pchanemu silną sprężyną. Dużą niedogodnością jest konieczność ich przeładowywania po każdym oddanym strzale.

2) gazowe - kulkę wyrzuca gaz zgromadzony w specjalnym zbiorniku (najczęściej znajduje się on w magazynku). Modeli tej klasy nie trzeba przeładowywać po każdym oddanym strzale.

3) elektryczne (tzw. Airsoft Electric Gun) - w zainstalowany w nich silnik elektryczny naciąga sprężyną z dużą mocą i częstotliwością. Są to modele najwyższej klasy. Zasięg ich strzału jest największy.

Airsoft jest idealną alternatywą w stosunku do drogiego i przez to nieosiągalnego dla wielu paintballu, gdyż zabawę można zacząć już od 100 zł. Według zwolenników airsoftu, „rywala” zwycięża klimat rozgrywek uzyskiwany dzięki realistycznemu wyglądowi

replik. Duże znaczenie ma także ich skuteczny zasięg wahający się pomiędzy 20 m (tańsze modele sprężynowe) a 50 m (kosztujące ok. 1300 zł, Airsoft Electric Gun), po nawet 100 m (karabiny snajperskie).

W Airsoft bawić się mogą wszyscy niezależnie od wieku, zaleca się jednak ukończenie 16 lat. Bezwzględnym wymogiem jest natomiast noszenie podczas zabawy okularów ochronnych (cena około 30 zł). Warto zaznaczyć, iż Airsoft jest mniej bolesny od paintballu. Ślad po trafieniu przypomina kształtem i wielkością ugrzyzienie komara. Wyjątek stanowią trafienia w wrażliwsze części ciała, kiedy może dojść do naruszenia skóry. Dlatego też dla obawiających się o swoją twarz zalecane jest noszenie przez te osoby również masek, bądź kominiarek. Niewątpliwym minusem ASG jest brak śladu pozostawianego przez kulki na ubraniu. Czyni to jednak elitarną formę rozgrywki, stawiającą fair play na najwyższym poziomie.

Znajomy zadał mi pytanie, co sądzę o wpływie tego hobby na psychikę. Zastanawiał się, czy bieganie po poligonie i strzelanie do siebie nawzajem nie wywołuje

Wygląd używanej broni jest bardzo realistyczny



Airsoft to zabawa zespołowa, ucząca współpracy w grupie





W Airsoft bawić się mogą wszyscy, niezależnie od wieku, zaleca się jednak ukończenie 16 lat

u nas pewnego rodzaju złego podejścia do broni, czy nie zatracamy do niej dystansu jako do czegoś co niesie śmierć. Rozważał także, czy mając prawdziwą broń, nie użyjemy jej z tego powodu w błażej sprawie. Muszę przyznać, że dopóki nie padły te pytania, nie zastanawiałem się nad tym wcześniej.

Maniacy ASG

Są to pasjonaci, którym Air Soft Gun daje możliwość odreagowania całego tygodnia pracy i spędzenia wolnego czasu na świeżym powietrzu w gronie znajomych i przyjaciół. Zabawa wymaga wykazania się refleksem, cierpliwością, zmysłem taktycznym czy innymi zdolnościami fizycznymi, takimi jak umiejętność cichego poruszania się w różnych warunkach lub celnego strzelania, a przede wszystkim uczciwości, która jest priorytetową zasadą gry.

Uzależnienie od broni?

Moim zdaniem za sprawą ASG nikomu to nie grozi, podobnie jak zresztą w przypadku paintballu, czy chociażby strzelectwa sportowego, gdzie trenuje się dwa razy

w tygodniu. ASG to zabawa dla ludzi dorosłych, a ci z reguły potrafią zauważyć granice zdrowego rozsądku i bezpieczeństwa. Są to również ludzie z wykształconym już światopoglądem i nie wydaje mi się, aby broń stała się niebezpiecznym nawykiem, zwłaszcza poprzez zabawę, jaką jest niewątpliwie airsoft.

Dystans do broni

Bawiąc się w ASG, nie traci się dystansu do broni. Kontakt z modelami broni palnej ma swoje zalety. Bardziej doświadczeni (niejednokrotnie mający także doświadczenie z bronią palną) przedstawiciele środowiska, m.in. poprzez WMA-SG.pl starają się, aby zabawa ASG wykształcała u maniaaka prawidłowe zachowania. Każdy maniak powinien rozumieć, co to jest broń i co się wiąże z jej posiadaniem - jaka jest to wielka odpowiedzialność. Wszelkie zachowania nieprzemawiające za odpowiedzialnym podejściem i dojrzałością zostają karcone na forum publicznym, a osoby wyjątkowo odporne zostają wykluczane z zabawy przez grupy szanujące nieformalny kodeks maniaaków ASG. Nie wydaje mi się,

aby zabawa modelami broni miała się przyczynić do jej swobodniejszego użycia w sytuacji zagrożenia. Społeczność WMA-SG.pl stara się dbać o zdrowe podejście, o traktowanie modeli ASG jako modeli - nie jako broni. Tak nieodpowiedzialne zachowania, jak grożenie komuś modelem ASG (nawet w samoobronie) lub paradowanie z nim po ulicy na wierzchu, są stanowczo potępiane.

Dzięki airsoftowi wiele można się nauczyć na temat walki w terenie i w grupie i na własnej skórze można się przekonać, że więcej się zdziała, współpracując. Szybko również rozwiewają się mity spektakularnych akcji przeprowadzanych w grach komputerowych typu FPP czy oglądanych na modnych filmach akcji. Należy pamiętać, że airsoft w swojej czystej formie jest zabawą. Stosunkowo realistyczną, ale ciągle zabawą. Mając to na uwadze, na pewno da ona wszystkim chętnym wiele satysfakcji i frajdy. Pozdrawiam serdecznie i możliwe, że do zobaczenia na polu walki... airsoftowej.

Medard Starzycki

Redaktor naczelny serwisu - www.wmasg.pl

Członek krakowskiej grupy G.G.A. Kruk -

www.kruk.asg.pl

Liczy się dobra i kulturalna zabawa w doborowym towarzystwie



Rozgrywane są liczne scenariusze o charakterze paramilitarnym



„Marzyciel”

czyli Piotruś Pan

Film „Marzyciel” w reżyserii Marca Forstera z muzyką Jana A.P. Karczmarskiego to seans, który przenosi widza w świat marzeń, wyobraźni, do miejsc nienamagalnych i nierealnych.

Stosunkowo błaha historia serwowana z doskonałą obsadą: Johnny Depp, Kate Winslet, Dustin Hoffman. Nazwiska mówią same za siebie. Gra aktorów niesie przesłanie o potęgę miłości. Pisarz szukający natchnienia do kolejnej książki znajduje matkę z czwórką synów. Spotkanie przeradza się najpierw w zauroczenie, potem w wielkie uczucie do Sylvii oraz radość przebywania z gromadką urwisów o niebywałej wyobraźni. Miłość, poczucie bliskości i ciepła przyczyniło się do tego, iż pisarz stworzył dzieło, które okaże się przepustką do nieśmiertelności i prestiżu.

Kraina szczęścia. Obraz idylli. Światło w tunelu dla zrezygnowanych i samotnych, a przede wszystkim lekcja o miłości, która odmienia los, daje poczucie bezpieczeństwa oraz pozwala wydobyć z siebie to, co najlepsze. Bajkowa całość oprawiona w ramę pięknej, uspokajającej muzyki polskiego kompozytora, który na początku marca bieżącego roku otrzymał Oscara, właśnie za stworzenie muzyki do filmu Forstera. Z całą odpowiedzialnością polecam.

Gabi

The Chemical Brothers

Pasjonaci muzyki elektronicznej mogą zacząć zacierać ręce z zachwytu, ponieważ pojawiła się nowa płyta The Chemical Brothers, królów brytyjskiej sceny muzyki elektronicznej.

Wszyscy fani tego zespołu wiedzą, jak długo płyta była oczekiwana. Tom Rowlands i Ed Simons kazali czekać na swój kolejny, piąty z rzędu krążek studyjny, trzy lata. Ale wiercie, że czekaliście nie na darmo, ponieważ płyta jest fenomenalna.

Nie wnosi ona z sobą nic nowego, czego wcześniej byście nie znali. Ale jest tak naładowana energią, że nie sposób słuchając jej, pozostać w bezruchu. Zawiera kilka spokojniejszych, balladowych kawałków, ale w większości znajdziecie na niej utwory bardzo żywiołowe i energiczne.

Wszystkim fanom orientu godny polecenia jest utwór „Galvanize”, który ma świetne arabskie wstawki. W kawałku tym zaprezentował się gościnnie Q-Tip z legendarnej hip-hopowej formacji A Tribe Called Quest. Inni goście na nowej płycie brytyjskich „Braciszków” to takie osobistości, jak Tim Burgess w utworze „The Boxer”, Anwar Superstar w „Left Right” oraz Kele Okereke, wokalista art-rockowej grupy Bloc Party i członkowie The Magic Numbers.

Płyta jest naprawdę godna polecenia i choć sama nie jestem entuzjastką muzyki elektronicznej, to nie mogę się od niej oderwać. To swoisty zastrzyk wiosennej energii, który zapewne skutecznie wybudzi Was z zimowego przegazienia.

Dominika Widlak

Nóż w zębach i spalony biustonosz

„Miłym paniom radzę przyjść na egzamin w mini. Bo przecież ja wiem i panie wiedzą, że kto jak kto, ale kobieta logiki nigdy się nie nauczy”.

To oczywiście cytaty z książki. Jednak takiego zachowania nie brakuje również na naszym uczelnianym podwórku. „Lubię, jak panie jęczą, ale nie na sali wykładowej” – oto wypowiedź jednego z wykładowców. Nie mam nic przeciwko żartom, ale te słowa, mimo iż wyzwoliły salwy śmiechu, nie po raz pierwszy uczyniły z kobiety przedmiot, w dodatku jęczący.

Książka, którą pragnę wszystkim polecić, to „Świat bez kobiet” autorstwa

Agnieszki Graff. W sposób niezwykle umiejętny podejmuje ona temat dyskryminacji kobiet w Polsce – problem nieistniejący w polskich mediach lub pomijany jako hasło przewodnie tych kretynek feministek. Książka Agnieszki Graff to wyzwanie rzucone stereotypom, polskiej wizji matki Polki. Przykładów, uzasadniających jej poglądy, szuka w polityce, na rynku pracy, w mediach, czyli wszędzie tam, gdzie kobieta musi walczyć, aby nie zostać zepchnięta do roli pokazowej maskotki o pięknym wyglądzie i małym mózgu.

Wbrew pozorom „Świat bez kobiet” nie jest atakiem na mężczyzn, ale próbą

wykazania, że obecnie równouprawnienie istnieje tylko w formie wąsko zakrojonej teorii. Graff wskazuje na manipulacje językowe stosowane przez większość polityków i dziennikarzy, które z osób walczących o prawo do aborcji czynią morderców. Jak łatwo rzeczywistość ubrać w słowa, które kompletnie jej nie odzwierciedlają! Nasza demokracja, mimo iż coraz to starsza, wciąż pozwala na to, by kobiety zarabiał 11 proc. mniej niż mężczyźni. Gorąco polecam, szczególnie inteligentnym mężczyznom.

Agnieszka Zawilowicz

„Bij drecha”

albo gra o pleminiu współczesnego miasta

„Bij drecha” to tytuł gry, którą ostatnio pokazał mi kolega. Nie jest ważne, czy gracz wciela się w babcię Kleofasę, czy też w inną z trzech proponowanych postaci, lecz to, że w dość drastyczny sposób zabija przechadzających się po ulicy „drechów”. Za pomocą karabinu maszynowego rozbryzguje się ich ciała na ekranie. I moim zdaniem nic w tym dziwnego - gra wydaje się oczywistą odpowiedzią na otaczającą nas rzeczywistość. To sposób, w jaki przeciętny człowiek może odreagować strach.

Nie wystarczy mu przecież odwagi, żeby choć jednym słowem odezwać się do grupki „drechów”. Nie wystarczy mu odwagi, by odezwać się choćby do jednego. A tu gracz ma szansę na odwrócenie relacji, do której przyzwyczaiło go codzienne życie. Gra „Bij drecha” jednak dokładnie obrazuje towarzyszącą nam lęk przed tzw. dresiarzami. W niby prostej strzelaninie widać, jak „niedres” z błyskiem w oku zadaje „dresowi” ból, którego nawet namiastki nie byłby mu w stanie zaaplikować na żywo. Ból, strach na taki poziom relacji doprowadzają życie społeczeństwa tacy właśnie ludzie. Odwet po dłuższym interwale czasowym, w zaciszu domu, wydaje się produktem instynktu samozachowawczego słabego człowieka, niezdolnego do stawienia czoła żywemu „drechowi”.

Jeszcze do niedawna spodnie z paskami albo firmowy znaczek podwyższały status przeciętnego szaraka. Jednakże obecnie są one sprzęgnięte z grubym srebrnym łańcuchem, ogoloną głową i przerosniętą klatką; profilaktycznie należał się bać! Nie wiem, czy słuszne jest upatrywanie genezy polskiego dresiarstwa w sporcie, choć niewątpliwie klubowi zawodnicy stanowią część subkultury. Bardzo dużą część tej grupy reprezentują również kibice. Jednak patrząc globalnie na grupę, z prawdziwym sportem ma ona mało wspólnego, chyba że weźmiemy pod uwagę na fakt, iż stanowi ona bezpłatne, poruszające się reklamy znanych firm sportowych. Ostatnimi czasy polski „drech” zaczyna się kojarzyć również z psem. Wizerunek Pit Bulla można bowiem bardzo często spotkać na bluzie czy czapce. Pies ten okazał się także godnym towarzystwa „drecha” i często spaceruje u jego boku. Może chodzi tu o to, by podkreślić siłę, by dać wyraz zdecydowaniu i nieustępliwości? A może to po prostu dobra nowa firma, która weszła na polski rynek? Nie wiem.

Nie wiadomo, kiedy subkultura ta stała się jedną z najliczniejszych i zarazem najsilniejszych. Według mnie, mają na to wpływ przeróżne czynniki, począwszy od środowiska, na modzie skończywszy. „Drechy” są powszechnie wyśmiewane, pewnie

dlatego, że wywołują powszechny strach! Żartu na ich temat, podobnie jak tytułowa gra, mają rozluźniać i odstresować. Nie sztuką są zgryźliwe uwagi i wnioski wysrane z palca. Trzeba się zastanowić, dlaczego tak jest. Dlaczego na ulicach, w blokowiskach i w zakamarkach miast widać grupki ubranych w dres, anonimowych młodych ludzi, wydających się nie mieć celu w życiu, vegetujących z dnia na dzień?

„Drechów” można porównać do hipotetycznej struktury plemiennej żyjącej w wiosce, na dnie dolinki z rzeką płynącą nieopodal. Z czasem bardzo przywiązuje się ona do swego terytorium i krajobrazu, w którym żyje, oraz dobrze przystosowuje do jego warunków. Lud taki nie lubi obcych i traktuje ich z rezerwą, jeśli nie z otwartą wrogością. Łatwo dostrzega, że plemiona z dalszych rejonów są zdecydowanie inne. Groźna mina to pierwszy z sygnałów, jaki jest wysyłany do obcych. Ci, których inni utożsamiają z ich plemieniem, na początku bronią się, ale zarazem upewniają, że tylko między swoimi mogą znaleźć prawdziwe zrozumienie, empatię i spokój. Przekonują się do wielkiej wartości każdego z członków wspólnoty, co w skrajnych przypadkach może prowadzić do poważnych uprzedzeń. Jest paradoksem, że pytani o przynależność, udają, jakby grupa była im zupełnie obca. W obrębie samej wspólnoty stosunki rządzą się określonymi prawami. Każdy młodzieniec bardzo wcześnie opuszcza dom i rodzinę, a stając się wojownikiem, musi poradzić sobie z tą rolą. Każdy także czuje się integralną częścią grupy i ponosi swą część odpowiedzialności za nią. Wiąż między poszczególnymi wojownikami i innymi członkami z każdym dniem pogłębia się, co wpływa na zachowania i podzielane wartości. Niektórzy wojownicy już od urodzenia wydają się ważniejsi od innych, za sprawą starszych, szanowanych braci lub kuzynów. Inni odznaczający się dobrą budową lub siłą również stoją wyżej. Wszyscy jednak wiedzą, że zyskanie powszechnego szacunku wśród plemienia jest bardzo trudne, a prawie niemożliwe dla kogoś z zewnątrz. Czasami dzieje się jednak tak, że słaby człowiek, tylko dlatego, że pełni rolę kapłana, uznawany jest za silnego i mądrego, co w rzeczywistości nie

odpowiada prawdzie. Niektóre bowiem cechy łączą się nierozdzielnie z funkcją we wspólnocie. Trzeba także powiedzieć, że korzystanie z siły młodzi wojownicy mają we krwi. Jedni bardziej kontrolują swoje zachowanie, inni mniej, jednak siła w grupie jest w pewnym stopniu gwarancją bezpieczeństwa. Młodzieńcy dbają o wygląd. Nienagannie dopasowują charakterystyczne ubrania, czasem noszą biżuterię, zwracając również uwagę na rzeźbę ciała. Podążają wraz z główną tendencją ku coraz większej estetyce. Drogie stroje zdradzają ich pociąg do luksusu i dostatniego życia, które całkiem zwyczajnie planują spędzić z rodziną. Na co dzień krążą między swoimi szalasami. Nie mają stałego zajęcia, dorywczo realizują pomysły i rozmawiają w swym zamkniętym gronie. Ciągle jednak pozostają czujni i gotowi.

Myszę, że kiedy uda nam się przełożyć przywołany przeze mnie obraz plemienia na



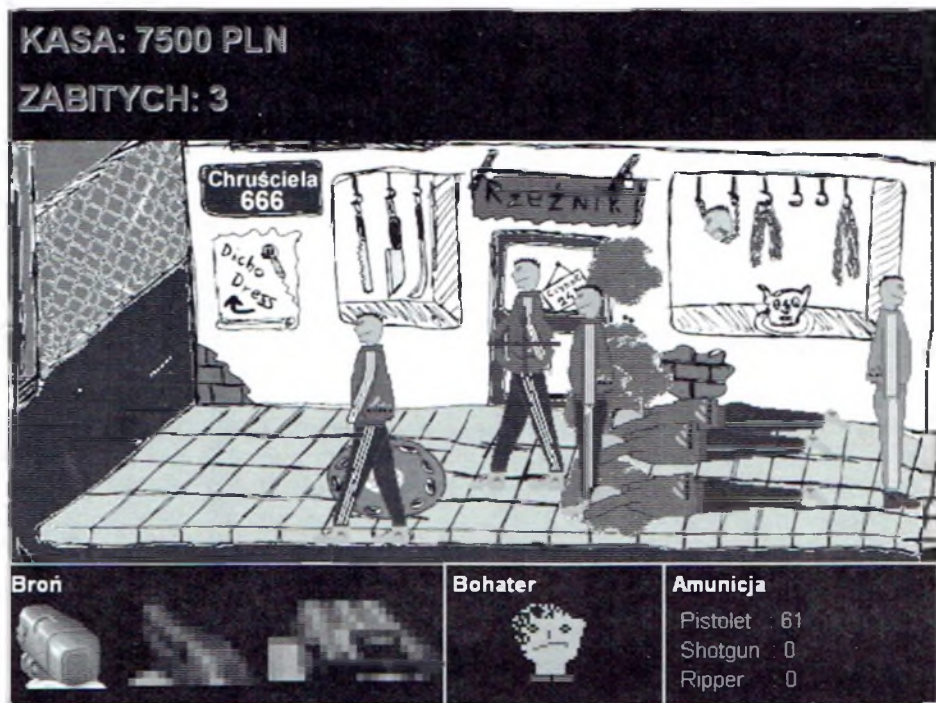
Nie jest ważne, czy gracz wciela się w babcię Kleofasę, czy też w inną z trzech proponowanych postaci

istniejącą rzeczywistość, zobaczymy wiele analogii, a komentarz okaże się zbędny. Mechanizmy, jakie istniały we wczesnych stadiach rozwoju ludzkiej cywilizacji, są aktualne także dziś. Funkcjonują nie tylko pomiędzy młodymi ubranymi w dres, ale w obrębie każdej z grup współczesnego świata, niezależnie od kultury czy zajmowanego terytorium. Wewnętrzna spójność czy rola strachu to tematy, które obowiązywały i będą obowiązywać nadal. Alegorie pomagają nam w radzeniu sobie z problemem. Grupy plemienne żyjące przed

wiekami reprezentują nas, człowieka na etapie rozwoju, który mamy już za sobą. Ale czy tak jest na pewno? Według mnie - nie. Podobnymi cechami, pomimo rozwoju cywilizacyjnego, w dalszym ciągu charakteryzują się szczególnie zamknięte i małe społeczności. Czytelnik z pewnością zda sobie sprawę z faktu, że podobne plemiona „koczują” w jego własnym mieście czy wsi. Proces powstawania subkultury „drechów”, jak i każdej innej, to nie jeden dzień, to nawet nie rok. Człowiek od zawsze żył stadnie, chociaż trudno brać to za argument, kiedy mówi się o subkulturze „drechów”. Jednak prawda jest taka, że blokowiska i zamknięte tereny sprzyjają powstawaniu tej właśnie grupy. Pielęgnowana hierarchia wartości, która wydaje mi się poważnie skrzywiona, staje się głównym wyznacznikiem rozwoju tej społeczności. Jeśli weźmie się także pod uwagę diametralną zmianę społeczeństwa, jego stylu życia i sposobu postrzegania rzeczywistości, koło prawie się zamyka. Gdy doda się, że rodzina i szkoła pełnią dzisiaj marginalną rolę, a z drugiej strony zauważy nadmiar wolnego czasu i brak możliwości rozwoju, sprawa wyjaśnia się. Dobrze, że wraz z rozwojem świata ludzie są zewnętrznie zdeterminowani do poruszania się w wielu środowiskach. Różnorodne aspekty życia łączą ich nie tylko z jedną grupą. Może w tym leży szansa dla zamkniętych pato-

logicznych społeczności. Szansę tę może wykorzystać każdy „drech”, jeżeli zdoła się oderwać od prowokującej mnie do tego tematu gry...

Michał Serwiński



Wątek gry „Bij drecha” jest niesamowicie prosty

Ostatnia kolacja - wszystko o nas

Kolejna sobota. Wracam do domu po uroczym spotkaniu. Teraz czas pomyśleć o żołądku i kolacji. Mam ochotę na kanapkę z dżemem i trochę obrazów z życia innych ludzi. Zasiadam przed telewizorem z chlebem w jednej i pilotem w drugiej ręce. Podobnie jak kiedyś trafiam na niezły kanał. Program z gatunku sztucznie odtwarzanej, realistycznie zabarwionej rzeczywistości. Widoczki wręcz sielankowe: ciepłe lato, piękna pogoda, cudowna plaża. Grupka mężczyzn bawi się w najlepsze, adorując czarującą kobietę. Mogą wygrać pieniądze, rejs z seksowną Meksykanką, a do tego może i miłość? Widzowie dowiadują się od początku, na czym polega „haczyk”. Otóż obiekt westchnień podrywaczy jeszcze niedawno miał na imię Miriam, ale Juan, Cezar czy jakoś podobnie. Jest mężczyzną, o czym oni nie mają pojęcia. My, podglądacze z drugiej strony, dobrze o tym wiemy. Uzbrojony w tę wiedzę i herbatę malinową, z rozbawieniem oglądam, jak uganiają się za „Miriam”. Dali się nabrać, ja bym się domyślił. Czy na pewno?

Kilkanaście dni później trafiłem na odcinek „finałowy”, w którym cały „sekrety”, znany tylko przez kilka milionów fanów, wychodzi na jaw przy moich frytkach z sokiem jabłkowo-miętowy. Wygrany, mając raczej głupią minę, zgadza się na rejs z „Miriam” vel „Antonim”. Robi dobrą minę do złej gry? Chodzi mu o wygraną, lęk przed posądzeniem o uprzedzenia czy też męski honor? Nie mogę osądzać jego postępowania, bo nie mam

pewności, czy nie dałbym się nabrać na kłamstwo telewizji. Jego słowom towarzyszy głośny śmiech przegranych, którzy zapewniają, że wszystkiego się domyślali. Sytuacja ich kolegi nie budzi we mnie śmiechu. Jest mi raczej głupio, że należałem do tych, których bawił ten cały program, dramat „Miriam” i jej adoratorów. Bezpieczni od wzroku innych i ryzyka pomyłki, w głębokich fotelach naśmiewamy się z innych. Trzymając w ręku kromkę z szynką, szydziśmy z tych, którzy mają mniej wiedzy od nas, ale pewnie więcej odwagi.

Przy poprzedniej kolacji, którą opisałem jakiś czas temu, zastanawiałem się, co niedługo będę mógł zobaczyć w telewizji. Był już ślub, pojawiały się rozwody, rozprawy sądowe, masowe zrzucanie kilogramów na czas, totalna inwigilacja przez szybę z pleksi. Przychodzi nam poczekać na sceny pobić i maltretowania (pojawiały się w „niezależnych” przekazach), kradzieży, gwałtów i morderstw. Oby moje oczekiwanie było jak najdłuższe, bo nie chcę tego widzieć. Patrzmy na to, co oglądamy!!!

Nie będę już jadł kolacji przy TV. Wolę posłuchać muzyki i mieć spokojny sen bez wyrzutów sumienia, że pazernie wkraczam w czyjąś intymność, nie dbając o to, czy ta osoba jest tego świadoma i czy tego chce. Zmieniając kanały, depczę prywatność i rozkoszuję się słabościami i błędami innych. Tym wszystkim, co ukrywam przed innymi i czego sam się wstydzę...

ko

Fetysz, czyli diamentowa spinka do krawata

Jeżeli nasze życie intymne porównamy do dobrze skrojonego garnituru, który leży jak ulał, fetysz jest jak diamentowa spinka do krawata. Niekoniecznie potrzebna, ale jakże urozmaicająca.

Na początku zdementuję mit, jakoby fetysz był tylko zboczeniem, a fetyszyści seksualnymi zwyrodnialcami. Ponadto w błędzie są ci, którzy utożsamiają to słowo ze skórzanymi wdziankami czy biczownikami w maskach. Samo słowo „fetysz” pochodzi z języka portugalskiego (fetico) i oznacza ni mniej, ni więcej „czary”. W religiach pierwotnych fetysz był przedmiotem obdarzonym magiczną mocą i siłą, wcieleniem bóstwa. Swojemu właścicielowi miał zapewnić szczęście i dostatek.

Słowo to niestety przez lata bardzo się wypaczyło. Spróbujcie wpisać do przeglądarki internetowej słowo „fetysz”, a zostaniecie zasypani adresami stron porno wątpliwej jakości. Być może właśnie dlatego, że świat pornobiznesu przywłaszczył to określenie. Fetysz stał się tematem tabu. Zresztą cała sfera erotyczna została wynaturzona i skomercjalizowana, a to, co jest jej esencją, zostało zamknięte w czterech ścianach sypialni. A przecież tak naprawdę fetysz to coś wspaniałego, co ubarwia życie nie tylko, jeżeli chodzi o jego seksualną stronę.

Człowiek to takie zwierzę, które dużo może, ale nie zawsze mu się chce. Matka natura obdarowała nas nie tylko zmysłami, ale i wielkim rozumem, aby te zmysły maksymalnie wykorzystać. Niestety bardzo często pozostajemy zamknięci we wszystkich możliwych stereotypach i uprzedzeniach. W wielu przypadkach po prostu nam się nie chce eksperymentować. Szarość, nuda, marazm. Bardzo często jesteśmy też jak ta nieszczęsna Pani Dulska. Trochę jakby fałszywi i zakłaman. Może i sami byśmy chcieli, ale przecież nie wypada. Może i coś robimy, ale absolutnie się nie przyznajemy. Sęk w tym, że jednak absolutnie wypada, a nawet jest potrzebne. Fetysz urozmaica życie i nadaje mu kolorów. To jak pasjonujące, wciągające hobby.

Żeby nikt nie posądził mnie tu o szerzenie zgorszenia i rozpusty chcę powiedzieć, że namawiam Was do fetyszyzmu w tym pierwotnym znaczeniu. Talizmany i magiczne przedmioty, magiczne części ciała i zaczarowane zapachy. Nie ma fetyszy lepszych i gorszych, są raczej mniej i bardziej popularne.

Jednym z męskich fetyszy są kobiece stopy, pończochy i buty. W Anglii (no, bo przecież absolutnie nie w Polsce) zaczęły powstawać kluby zrzeszające amatorów tych części kobiecego ciała. Jeśli macie teraz przed oczami śliniących się panów po sześćdziestce to jesteście w błędzie. Jednym z bardziej znanych „stopomaniaków” jest np. Szymon Majewski, który (i chwała mu za to) nie ukrywa się ze swoim upodobaniem. Myślę, że jest to wspaniały kontrargument dla wszystkich kobiet, które twierdzą, że dla mężczyzn są chodzącą parą piersi. Drogie panie wrażliwy mężczyzna kocha wasze stopy! Czy to nie piękne i poetyckie? Być może nawet bajkowe?

Właściwie nie ma tu podziałów damsko-męskich. Najlepsze właśnie w fetyszu jest to, że owe stopy, dłonie i włosy nie muszą być idealne, ponieważ nie ma żadnych reguł. To kwintesencja fetyszu. Nie ma żadnych zasad. Włosy nie muszą mieć określonego koloru, dłonie długich paznokci, a stopy rozmiaru 36. Każdy „ma swojego konika”. Jedni kochają dwukolorowe tęczy, inni spracowane ręce poprzecinane delikatnymi żyłkami, wklęsłe pępki, słodkie zapachy, dołeczki w brodzie i rudzielców. Tu nikt nie ustala zasad. Ilu ludzi tyle fetyszy.

Żyjemy otoczeni zapachami, a tylko niektórzy są na nie tak wrażliwi. Zapachowi fetyszyści rozpoznają marki perfum z dwudziestu metrów. Na dodatek bardzo duże znaczenie ma dla nich naturalny zapach człowieka. Ich wyostrzony do granic możliwości zmysł powonienia potrafi czasem doprowadzić do sytuacji skrajnych, kiedy nie są w stanie z kimś pracować właśnie z powodu jego zapachu. Bez uśmiechów proszę, bo nie mowa tu o żadnych smrodkach i brudasach. Dla wszystkich wrażliwych na woń te słowa powinny być dość jasne. Aromaty przywołują wspomnienia, naznaczają chwile wywołują szeregi skojarzeń. Nie tylko te piękne i szlachetne, ale również te ciekawe i irytujące. Zapachy to odrębny świat, w którym możemy tkwić wyłączając wzrok i słuch. Możemy tylko czuć. To już samo w sobie predestynuje woń do miana magii.

Tak właśnie to działa. Fetysz nie musi się wiązać z nakładami finansowymi czy dużym

wysiłkiem. Piękne jest w nim to, że urozmaica codzienne życie. Czujemy lato, czujemy zapach włosów swojej kobiety, w ciepłe dni otaczają nas tysiące nagich stóp w sandałkach i całe ulice gołych pępków. Jesteśmy niegroźnymi podglądaczami. Ale czy nie właśnie po to te brzuchy odsłonięte, buty mają tak wysokie szpilki, a męska muskulatura jest ćwiczona przez całą zimę na siłowni?

Otocza nas to, co uwielbiamy, bo rozsmakowujemy się w szczegółach i niuansach. Patrzymy inaczej na rzeczy, które dla wielu wydają się tak zwyczajne i banalne. Przez to, że dostrzegamy piękno drobiazgów - nasz świat jest o wiele bardziej ciekawy i milion razy bardziej pociągający. Możemy na co dzień czuć się otoczeni zmysłowym erotycznym pięknem, chociaż nikt inny go nie widzi. Fetyszyści to bardzo szczęśliwi ludzie.

Fetyszyzmu nie można się nauczyć. Nie można nagle pokochać jakiejś rzeczy czy części ciała i zacząć się nią zachwycać. Myślę jednak, że w wielu z nas coś takiego drzemie. Jakaś ukryta potrzeba adoracji i uwielbienia dla przedmiotów. Radzę po prostu przełamać w sobie fałszywy wstyd i otworzyć się na te zachcianki zmysłów. Trzeba się rozpieszczać szczególnie w tak niewinny sposób.

Żaba

Przy współpracy eksperta Madsa





Metroseksualizm, to nie zniewieściatość

Po raz pierwszy terminu *metroseksualizm* użył Mark Simpson, opisując w dość pejoratywny sposób postać Davida Beckhama. Od tego czasu definicja *metroseksualizmu* stale ewoluuje, zwiększając swoją objętość. Przestała też mieć już tak negatywne zabarwienie. Obecnie oznacza faceta, wywodzącego się z klasy średniej, najczęściej heteroseksualnego, spędzającego dużo czasu w siłowni, na basenie i jeszcze więcej przed lustrem. Jego naturalnym środowiskiem jest miasto („metro” - „metropolis”, „sex” - „płeć”). Czymś normalnym jest dla niego pielęgnacja dłoni, maseczka na twarz czy solarium. Dlaczego krytykować taką postawę? Moim zdaniem opinia na ten temat wywodzi się z braku tolerancji. Między mężczyznami również występuje coś w rodzaju zazdrości, więc kiedy gość wygląda jak prezydent z telewizji albo gwiazda na czerwonym dywanie, to najczęściej patrzymy na niego krytycznie, przypisując mu jednocześnie skłonności homoseksualne. Pomijamy wtedy fakt, iż on po prostu chce dobrze wyglądać. Czy każdy z nas musi być szary, zarośnięty i nieokrzesany, bo taki istnieje stereotyp mężczyzny w kulturze słowiańskiej?

Sama definicja „prawdziwego mężczyzny” ociera się o demagogię. To normalne, że kultura, moda, styl życia ewoluuje. Dlatego jestem jak najbardziej „za”. Idzie wiosna, tramwaje (czytaj: metalowe konserwy bez klimatyzacji) znowu zapelnia się spoconym tłumem i miło będzie gdzieś pośród niego poczuć zapach nowej wody toaletowej Hugo Bossa czy Calvina Kleina.

Ronix



Mężczyzna od „metra”

Piszę biało na czarnym, więc powinno być jasne, że nie jestem zwolennikiem tego „prądu” tudzież mody. Zjawisko społeczne nazywane „metroseksualizmem” ma niejedno oblicze. W wielu miejscach możemy spotkać wyznawców tego stylu na uczelni, w pracy, szkole, autobusie i często metrże także.

Zgadza się z tym, że facet musi umieć o sobie zadbać. Wojskowe technologie oszczędnościowe typu jedno skarpetki na tydzień odpadają! Ale żeby mężczyzna dobierał skarpetki kolorystycznie do szalika, szalu, czy też parasola? Cóż, w moim niewielkim świecie na takie zachowanie nie ma miejsca. Jestem zwolennikiem tradycyjnego podziału ról społecznych. Pokróćce to kobieta jest tą osobą, która olśniewa, a towarzyszący jej mężczyzna ma za zadanie wyglądać i zachowywać się tak, aby nie psuć tego pięknego zjawiska. Jego rola jest prosta, ale jakże wdzięczna.

Może i jestem niereformowalny, staromodny jakiś, ale nie pasuje mi u faceta manicure, pedicure ani żaden inny „tuning” dłoni. Jedyne środki konserwujące przeze mnie używane to pospolity krem „Nivea”. Nie spędzam długich godzin przed lustrem, trawiony dylematem, czy zrobiony przeze mnie przedziałek jest „trendy”, „jazzy” czy Rocky 5.

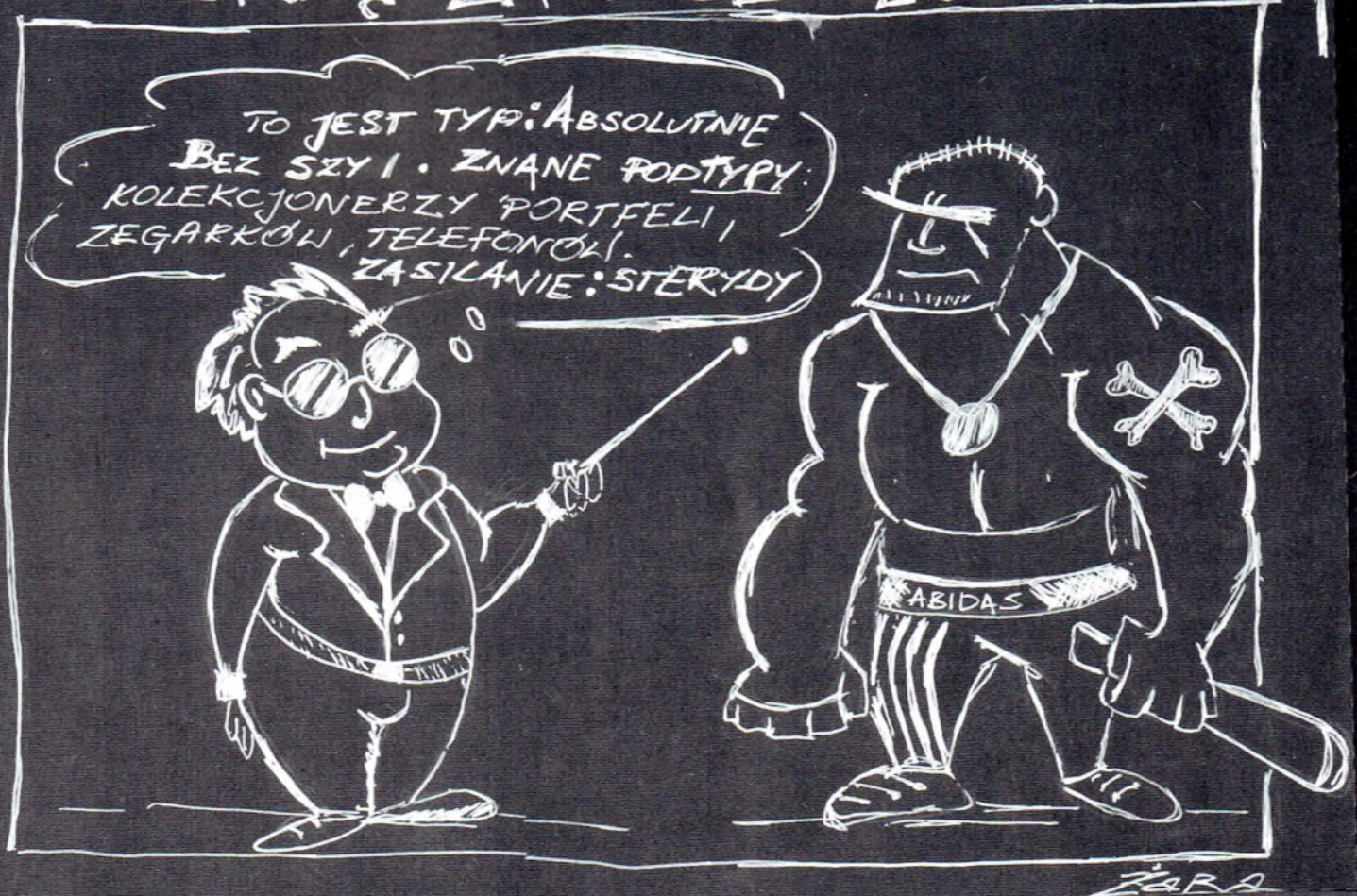
Golenie – kolejna „zabawa” prawdziwych mężczyzn. Z wiekiem staje się coraz mniej krwawa. To rozumiem: broda, wąsy, bokobrody, pks-y, czy intercity. Jednak wybaczcie, o co chodzi, gdy mężczyzna wyrwa sobie brwi, robi (ge)henne lub inne tortury. W imię, czego? Wszelkich tego typu zachowań „normalni” faceci nie rozumieją. Są prości. Dużym wysiłkiem jest dla nich zwykłe ogolenie się! Po tym wyczerpującym zajęciu nie chcą myśleć o jakimkolwiek innym goleniu, strzyżeniu czy wyrzucaniu brwi. Po co, lub co to jest?

Z doświadczenia wiem, że często „metrowy” u kobiet także nie znajduje zrozumienia. Powiem więcej, często staje się ofiarą ich kpin i żartów. Sprawny metroseksualista w mig potrafi wpędzić kobietę w zakłopotanie. Od razu zauważy, że kolor jej paznokci nie pasuje do włosów, które dodatkowo mają rozdwojone końcówki, a ich barwa z kolei nie nadąża za najnowszymi trendami w modzie. Zwróci uwagę, że powinna skorzystać tak jak on, z bezbarwnego lakieru do paznokci. Ładnie się błyszczy, ma witaminę B12 i wzmacnia płytkę. Serum za to pomoże na włosy. Nikt lepiej niż on nie zna się na wszelkich kosmetykach. Chętnie doradzi, jaki krem powinno się stosować rano, wieczorem, na noc, pod oczy, po posiłku, przed solarium, na nartach, w jaccuzzi. Taki kolega wydaje się być najlepszym przyjacielem kobiety wtedy, gdy wybierają się na zakupy. Jak nikt potrafi doradzić, czy turkusowe kolczyki i różowa szminka do ust nie będą powodem tragicznego w skutkach dysonansu poznawczo-wizualnego. Tak jednak nie jest. Zakupy traktuje się jako zajęcie typowo kobiece i wszelkie uwagi podważające kwalifikacje kupującej są jak najbardziej nie na miejscu i często prowadzą do ciężkiej atmosfery i niechęci.

Jaki kto ma „styl”, jego sprawa. Ja trwam w swoim własnym, małym świecie, gdzie kobieta jest kobieca, mężczyzna męski, a nie odwrotnie. Istotą płci pięknej jest to wspaniałe, trudne do opisanie „coś”. Nieziemski pierwiastek, wspaniała i niepowtarzalna aura, która gdy tylko się pojawia, świadczy o tym, że mamy do czynienia ze szczególną osobą. Mężczyzna za to ma być oparciem, zapewniać poczucie bezpieczeństwa. Wszelkie różnice wynikające z charakteru są jedyne w swoim rodzaju i świadczą o istocie każdego z nas. To właśnie zapewnia światu koloryt i co za tym idzie piękno, a nie uniseksualne zacieranie granic.

ko

ZARZĄDZANIE BEZPRECEWNIWOSTWEM



NAUKI O RODZINIE



mixer

magazyn studentów



DOŁĄCZ DO NAS

SPOTKANIA REDAKCJI

PIĄTEK 10:00

POKÓJ 043 (SAMOISTOTNIEC)

Chcesz być dziennikarzem? Może robisz ciekawe zdjęcia, tworzysz grafikę? Przyjdź i razem z nami na nowo stwórz gazetę. Każdy utalentowany student jest mile widziany.

Przyjdź na spotkanie redakcji.

mixer@kte.pwr.edu.pl